

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 18 sierpnia 1946 r.

Nr. 32 (38)

Witold Bieńkowski

Ani antysemityzm – ani filosemityzm

Sprawa ludzka

Na rozpatrywanie wiecznie żywej sprawy żydowskiej winny wpływać przyczyny inne, niż mord kielecki, lub kwestie polityki międzynarodowej. Sprawa żydowska rozpatrywana pod kątem ekscesów rasistowskich pozwala na wyciągnięcie wniosków, dotyczących zaledwie morderców i tła zbrodni, kwestia zaś Palestyny o tyle jest ułamkowym dotknięciem problemu, o ile można stwierdzić z całą pewnością, iż toczy się w ramach imperialnej polityki angielskiej, na którą nie mogą mieć wpływu, przeszkadzające tej polityce, naturalne interesy poszczególnych narodów.

Jest rzeczą zrozumiałą, że jaskrawe momenty, związane z zagadnieniem żydowskim, wydobywają na jaw wszystkie truizmy, jakimi operują nastawienia anty- i filosemickie. A że w rozważaniach tego rodzaju istnieje brak całkowitego obiektywizmu — problem ulega wynaturzeniu, sprowadza się do spraw pozażydowskich. Z takich rozważań wysnuwa się wnioski jednostronne. I toczy się wów czas walka tego rodzaju, która z punktu widzenia interesów narodu żydowskiego, zawsze jest groźna, gdyż interesów tych nie uwzględnia inaczej, jak tylko w formie materiału przyczynkowego. Materiał ten jest traktowany ubocznie dla zatajania spraw tak samo odległych od niepodległości Palestyny, jak i od uwzględnienia istotnych problemów narodu żyjącego w diasporze. Nieuwzględnienie interesów i problemów narodu żydowskiego, wyjaławia problem, czyni go nierealnym, pozbawia możliwości jakichkolwiek sprawiedliwych i ludzkich rozwiązań.

Powinno się przyjąć za pewnik, że tak antysemityzm, jak i filosemityzm są pojęciami jednakowo szkodliwymi tak dla interesów narodu żydowskiego, jak i dla interesów społeczeństwa, rozpatrującego problem. Uznać bowiem należy pełnoprawność obydwu stron do poważnego ich traktowania, z uwzględnieniem naturalnych praw im przysługujących. W rozważaniu problemu przez stronę polską istnieje wyraźna tendencja do uprawnienia jednostronnych, zapominając często, że naród żydowski posiada takie same prawa, jak każdy inny, do poczucia własnej wartości. Rozproszenie zaś, w jakim żyje, nie powinno stwarzać w nim kompleksów, które skłaniają do żywych reakcji na każde złe lub dobre spojrzenie.

Istnieje kwestia bytu i prawo do życia. Stałe podważanie tego prawa ze strony narodów, wśród których żyje naród żydowski, rodzi kompleksy. Zmuszają one Żydów do uprawiania takiej polityki, która by w wyniku gwarantowała możliwość życia i trwania. Stąd poszukiwania życiowości i lek przed złym spojrzeniem.

Sprawa antysemityzmu i sprawa filosemityzmu należy w istocie do spraw pozażydowskich. Jest to sprawa narodu współżyjącego z narodem żydowskim. Jest to sprawa ludzka w złym wydaniu. Kryje się w niej wyższość, wyrażana pogardą i nienawiścią, lub litościwym protekcjonalizmem.

Przyczynieniu się do wydobywania sprawy ludzkiej w dobrym wydaniu ma służyć niniejszy artykuł.

* * *

Gdy w grudniu 1942 i w styczniu 1943 roku rozmawiałem kilkakrotnie z przedstawicielami warszawskiego „Judenratu“ Sztolzmanem i Tenenbaumem, próbowałem dotrzeć do sedna polityki tych kół

żydowskich w okresie okupacji, które stawiały na podporządkowanie się zarządzeniom okupanta. Rozmówcom, jeszcze przed umożliwieniem im kontaktu z przedstawicielem konspiracyjnego Żydowskiego Komitetu Narodowego, dr. A. Bermanem, usiłowałem przedłożyć pogląd, że działalność „Judenratu“ nie zapewnia możliwości przetrwania Żydom w Polsce, oraz że nie pokrywa się z nastawieniem ogólnopolskiej walki konspiracyjnej. Usłyszałem wówczas odpowiedź, że jest to ten rodzaj polityki, który pozwala mniemać, że możliwe największy procent Żydów uniknie śmierci.

— W konspiracji mogą się ocalić jednostki z dobrym wyglądem — powiedział mi Sztolzman — napewno był pan pod mostem na Lesznie i widział pan, jak wyglądają tłumy.

Polityka „Judenratu“ miała więc swoje uzasadnienie. Miała również uzasadnienie polityka dyr. Guzika z Hotelu Polskiego, polegająca (przy pomocy i współudziale Żyda-gestapowca Skosowskiego) na wysyłaniu za granicę pewnej

ilości Żydów, dla których można było uzyskać certyfikaty południowo-amerykańskie. Miała uzasadnienie polityka dra Weicherta, dyrektora krakowskiego J. U. S.-u (żydowskie R.G.O.), otrzymującego drogą na Szwajcarię dary amerykańskie dla Żydów polskich.

Uzasadnienie dla polityki „Judenratu“, Guzika i Weicherta nie pokrywało się ani z linią działania polskich władz konspiracyjnych, ani z polityką Komisji Koordynacyjnej Żydowskiego Komitetu Narodowego i Bundu. Dr. A. Berman i dr. Feiner, jako przedstawiciele Komisji Koordynacyjnej, niejednokrotnie dawali wyraz zasadniczej negacji dla polityki np. Weicherta, gdyż wiadomym było ponad wszelką wątpliwość, że ogromna większość otrzymywanych darów amerykańskich zasilała potencjał gospodarczy armii niemieckiej.

I o ile żydowska polityka konspiracyjna widziała jedyne możliwości dla ocalenia części narodu żydowskiego w Polsce przez zespolenie sił żydowskich z polską konspiracją — o tyle obok niej

istniała polityka inna, usiłująca wykorzystać wszystkie możliwości przetrwania.

Dziś ani polityki „Judenratu“, ani nawet kollaborantów żydowskich z musu czy z dobrej woli (wykluczając oczywiście tych, którzy działali dla osobistego zysku i którzy ponieśli lub ponoszą zasłużone kary) nie można oceniać z innego punktu widzenia, jak tylko łącznie z kataklizmem, który dotknął społeczność żydowską w Polsce.

Dziś można i trzeba pozytywnie oceniać mądrą politykę żydowskich kół konspiracyjnych — ale nawet błędnej polityki „Judenratu“ nie można określić inaczej, jak uznaniem wysiłków, zmierzających do wyprowadzenia narodu z nie-szczęścia.

Polityka żydowska czasu wojny miała, bo musiała mieć, swoje odrębne od polskich cele. Kierowała się prawem zachowania biologicznego, a jest to przecież prawo rządzące bytem narodów.

Jeśli dają dzisiaj celowo te wspominki lat tragicznie minionych, czynię to przede wszystkim dla podkreślenia i uwypuklenia jednego: — polityka narodu żydowskiego daje takie same wyniki, jak polityka każdego innego narodu — zwycięstwa lub klęski. Jest dobra lub zła. Służy celowi nadrzędnemu, nie innemu, niż cele innych narodów.

Skutki błędnej polityki żydowskiej o tyle są zwykle tragiczniejsze, że znajdują się w wymiarze większym, niż wszystkie inne. Stąd nastawienie narodu żydowskiego na wyczekiwanie kataklizmu, stąd naturalny, żywiołowy pęd do utrzymania gatunku i poszukiwanie środków zaradczych gwałtowniejsze, niż gdziekolwiek indziej.

* * *

Istnieje u nas i nie tylko u nas, tendencja do dzielenia społeczeństwa żydowskiego na trzy kategorie: tych Żydów, którzy się asymilują lub asymilacji pragną — tych, którzy dążą do odzyskania własnego terytorium państwowego — oraz tych, którzy są przeciwni asymilacji a nie realizują planów emigracyjnych.

Tego rodzaju podział jest wynikiem oceny problemu żydowskiego wyłącznie z punktu widzenia polskich interesów narodowych. Jest wiadomym, że z punktu widzenia tych interesów można się pozytywnie ustosunkować do grupy pierwszej i drugiej, negatywnie do trzeciej. I byłoby to zrozumiałe, gdyby w podziale tym nie istniał zasadniczy brak. Jest nim nieliczenie się z rzeczywistością struktury psychicznej i odrębnych narodowych celów społeczeństwa żydowskiego. W podziale tym kryje się poza tym coś więcej — kryje się niemożność rozwiązania problemu żydowskiego w sposób realny i dla całości, obustronnie zespolonych, interesów twórczy.

Jeśli bowiem przyjąć, że diaspora narodu żydowskiego jest faktem, jeśli stwierdzić, że każdy naród ma prawo do miejsca na ziemi, jeśli wreszcie uznać sytuację narodu, niemającego powrócić do własnej ziemi, za tragiczną — trzeba wysnuć wniosek, że w obustronnych interesach leży właściwe rozwiązanie stosunków współżycia. To rozwiązanie obowiązuje tak Polaków, jak i Żydów.

Polacy mają prawo do rozpatrywania kwestii z punktu własnych interesów narodowych. Prawo to musi być uwzględniane przez Żydów polskich w ich polityce, mającej na celu znalezienie jak

Na marginesie

Pokój jest niepodzielny

MINAŁ rok od chwili ostatecznego powalenia obu partnerów osi — obu podpalaczy świata — Niemiec i Japonii. Konferencja pokojowa otworzyła swe podwoje dla 2.000 delegatów, przedstawicieli 21 państw, walczących po stronie Aliantów.

Waga tej konferencji jest tym większa, że Jakkolwiek działania wojenne ustały, pokój, w pełnym tego słowa znaczeniu nie został jeszcze osiągnięty i połowa całkowitej Europy żyje jeszcze w nienormalnych warunkach. Przed delegatami tych dwudziestu jeden państw leży niezmiernie trudne podwójne zadanie — zlikwidować skutki wojny, stworzyć warunki pod pokojowy rozwój świata. Odsunąć od nas widmo trzeciej wojny.

Są jeszcze na świecie amatorzy trzeciej wojny. Pozostawiając na boku tych amatorów, którzy w zacisznych gabinetach snują plany nowych światowych powikłań, bo z tymi walczą inne siły, zdajemy sobie sprawę z istnienia zwolenników nowej rozprawy także i wśród szerokich mas poszczególnych narodów a między innymi także i u nas.

Nie można się jednak tym nastrojom dziwić. Wojna pozostawiła po sobie nędzę i wiele zaognionych i nieregulowanych problemów. Ci wszyscy, którzy zwątpili w istnienie innych argumentów poza wymową dział — zwracają się do nich spowrotem o ratunek przed bólem i złem. Ci ludzie jednak nie zdają sobie sprawy, że obracają się w błędnym kole, gdyż wymarzona przez nich wojna przyniosłaby napewno jeszcze więcej bólu i zła i jeszcze więcej zaognionych problemów.

Dla Polski zrujnowanej, słabej, wewnętrznie rozdartej, byłaby ona przejściem może nawet tragiczniejszym niż okres ostatnich lat sześciu. Jakkolwiek zaś byłby jej wynik — uderzałby w nas, zbyt słabych, by móc oprzeć się presji silniejszych sąsiadów.

Polsce potrzebny jest pokój. Potrzebny jest pokój zewnętrzny, gdyż tylko normalizacja stosunków politycznych na płaszczyźnie międzynarodowej pozwoli nam na rozwinięcie normalnych stosunków z zagranicą, spowoduje powolne zacieranie się wyraźnych stref wpływów, dzielących nie tylko Europę, ale i świat cały na przeciwstawne obozy. Zbyt mocno i zbyt wyraziście odczuwamy dziś w naszej wewnętrznej strukturze istnienie tych światowych podziałów, byśmy mogli żyć im dalszego powiększania się. Ponieważ zaś taki stan rzeczy nie może trwać ani u nas ani na całym świecie, przeto jest rzeczą oczywistą, że dłuższy okres pokoju musiałby doprowadzić do rozładowania istniejących napięć.

Tylko na tle normalizacji międzynarodowych stosunków możliwa jest ostateczna normalizacja naszego życia narodowego. Jest ona zaś warunkiem niezbędnym dla dokonania dzieła całkowitej odbudowy naszej nadwątłej państwowości. Jeśli zaś chcemy w przyszłości móc wrócić do należnego nam miejsca, to zadaniem pierwszym jest odbudowa materialna i moralna naszego kraju. Dopiero silni wewnętrznie będziemy mogli zdecydowanie kroczyć na arenie międzynarodowej.

Dla tego z napięciem i niepokojem musimy śledzić przebieg zmudnych rokowań paryskich. Nie ludzimy się, że przeciwności ideologiczne mogą być rozwiązywane pociąganiem pióra. Pragniemy, aby mogły być one rozwiązane bez wstrząsów wojennych. Pragniemy, by pokój wypracowywany — stał się pokojem dla wszystkich — zwyciężczych i zwyciężonych, dla słabych i dla silnych, dla bogatych i dla biednych. Osiągnąć to będzie można jedynie za cenę daleko idących wyrzeczeń z celów egoistycznych, z samowoli, z nienawiści. Tak na wewnątrz, jak i na zewnątrz.

— PAX HOMINIBUS BONAE VOLUNTATIS.

najlepszych środków do bytu i do twórczego trwania.

Odrębność narodowa społeczeństwa żydowskiego jest faktem. Wyraża się w zachowaniu wiary, tradycji i obyczaju. Z obiektywnego punktu widzenia nie jest złym. Przeciwnie — zasługuje na podziw i może być przykładem spójności narodowej, nie niknącej wśród różnych warunków egzystencji i przez wiele wieków diaspory.

Żydowska odrębność i spójność narodu, o ile jest zaletą z punktu widzenia żydowskich interesów narodowych, o tyle stwarza wiele trudności w znalezieniu dobrych warunków współżycia z innymi narodami.

Tendencja lub zdolności asymilacyjne, o ileby były cechą wszystkich jednostek narodu żydowskiego, lub o ile stałyby się celem społeczności żydowskiej — wykomczyłyby naród. Jednostki zasymilowane wchodzą automatycznie do innej społeczności narodowej i rozwiązują swój sposób współżycia odrębnie od społeczności żydowskiej. Problem żydowski ich nie obowiązuje i nie interesuje w sposób inny, jak członków narodu, do którego weszli.

System asymilacyjny, choć rozwiązuje problem żydowski z punktu widzenia polskich interesów narodowych, nie pokrywa się z narodowymi celami Żydów. Stąd nie może być postawiony, ani jako zalecenie, ani jako żądanie ze strony polskiej, jeśli celem jakichkolwiek żydów ma być realne znalezienie sposobów dobrego współżycia.

* * *

Sposoby dobrego współżycia między narodami polskim i żydowskim w ramach jednego państwa, są w największej mierze zależne od obustronnej dobrej woli, obustronnego poszanowania swych praw, oraz, co najważniejsze, w zespoleniu wspólnoty interesów. Wspólnota interesów zamyka się po prostu w trosce o dobro państwa, którego obywatelem jest Polak i Żyd. Stąd konieczność podporządkowania interesów narodowych społeczności żydowskiej nadrzędnym interesom państwa polskiego. Stąd obowiązek państwa zapewnienia społeczności żydowskiej warunków utrzymania i rozwoju ich wiary, tradycji i obyczaju w granicach pożądanym przez samą społeczność żydowską i nie kolidujących z interesami, wiarą, tradycją i obyczajami narodowej społeczności polskiej. Równość prawna wszystkich obywateli państwa polskiego zakreśla równe prawa i równe obowiązki wszystkim obywatelom, wyklucza jakiegokolwiek przywileju któregoś ze stron, przyznaje pełnoprawność obywatelską każdemu, niezależnie od przynależności narodowej, kto w myśl ustaw państwowych i w sposób twórczy jest dobrym obywatelem państwa.

I nie tutaj znajduje się ciężar gatunkowy problemu żydowskiego. Ciężar ten dotyczy polityki samego społeczeństwa żydowskiego, pragnącego i mającego obowiązek realizować własne cele narodowe w zespoleniu z interesami narodu, z którym współżyje.

Wojna ostatnia dostarczyła wiele dostatecznych dowodów na to, że są sytuacje, w których społeczeństwo żydowskie może być wydziedziczone z praw, przysługujących innym obywatelom wspólnego państwa. Są to sytuacje specjalne, ale powtarzające się w historii narodu żydowskiego. Wywołuje to w skutkach nie tylko uraz, ale i obowiązek narodowy zabezpieczenia się przed możliwością zaistnienia sytuacji podobnych.

I tutaj właśnie tkwi sedno rzeczy. Jakość polityki zabezpieczającej. Tej nie podyktuje narodowi żydowskiemu nikt. Bo nikt nie ma prawa do takiego dyktanda, nie znajdując się w sytuacji podobnej.

Polityka narodu żydowskiego, jak polityka każdego innego narodu, może być dobra lub zła. Ze wspólnego interesu polskiego i żydowskiego wynika postulat, aby jakość polityki narodowej społeczeństwa żydowskiego w Polsce pokrywała się z naturalnymi celami narodu polskiego, z jego linią rozwojową w zakresach: moralnym, kulturalnym i materialnym.

Na politykę wszystkich niezasymlowanych członków społeczeństwa żydowskiego powinni mieć wpływ bezpośredni przywódcy tego społeczeństwa. Oni ro-

zumieją i trafnie oceniają sytuację. A tej nie rozwiąże w sposób trwały i proporcjonalny zwiększona imigracja do Palestyny. Część wyjedzie pozostanie reszta. Oczekiwanie rozwiązania problemu żydowskiego w Polsce wśród zapakowanych kufrów, nie jest żadną polityką. Jest paliatywem wewnętrznym, poważnych decyzji.

* * *

Antysemityzm polski miał zawsze wiele cech niechęci rasowej. Przyczyny, które re tę niechęć wywołały, były zawinione obustronnie, jeśli można winą określić niedopasowanie temperamentów, wiary i obyczaju. Faszystowski kult rasy napiętnował niechęci rasowe znaczeniem ideologii, która i na naszym terenie znalazła swoich wyznawców.

Pobudki polityczne nie tłumaczą rasizmu. Rasizm rodzi się bowiem nie z pobudek rozumowych, albo z oceny sytuacji. Walki polityczne mogą się toczyć między członkami tego samego narodu — nienawiść rasowa jest wynikiem zatracenia elementarnych cech sprawiedliwości, lub tkwienia w prymitywizmie duchowym.

Na rasizm w Polsce, czy w świecie, nie ma miejsca! Zasługuje na napiętnowanie i wypalenie.

Łagodniejsza jego forma — antysemityzm — trwać mogła tak długo, jak długo nie zobaczył świat idei rasizmu, dla której antysemityzm był doskonałą pożywką.

Stwierdzenia powyższe nie rozwiązują jednak stosunku Polaka do Żyda. Mogą, co najwyżej, wpłynąć na rewizję po-

Lesław M. Bartelski

Po nim, wydartym okrutnie moim powiekiem przez śmierć, pozostał mi jeden egzemplarz tomiku wierszy p. t. „Okno“, wydany powielaczowo w Warszawie 1943 r. jako tom drugi Biblioteki „Sztuki i Narodu“. Tak jest — Marek Chmura: OKNO. Warszawa: MCMXLIII, Str. 18 i 2 nln. Powielono 125 egzemplarzy. Ten mój tomik jego wierszy jest egzemplarzem nieco wypłowiałym, ale jeszcze czytelnym, choć przelażał parę miesięcy wśród gruzów na zgliszczach mojego domu. Podniszczona okładka, jakby od częstego czytania, karty książki pomięte i wyplamione, częstokroć przyprószone pyłem ceglany, jak bruzdy dłoni — ślady przytłoczenia gruzem. Ogień 1944 r. wyrzucił ten skryty głęboko egzemplarz na ruiny i zgliszcza mojego pokoju.

Spod pyłu wapiennego, odszukując pozostawione papiery, odgrzebałem jego fotografię. Ofiarował mi ją Chmura po powrocie z Pawiaka w dowód pamięci. Na tle jasnego tła rysował się mocno jego wyrazisty podbródek, znamionując wolę i upartość, patrzyły łagodne oczy i jeżyła się ledwie odrosła po zgoleniu włosów czupryna. Był nieogolony, ale twarz jego, pełna cierpienia i zmęczenia promieniowała blaskiem. Nieomal wyrzucony z samochodu na al. Szucha, po wypuszczeniu z Pawiaka, błakał się po ulicach Warszawy parę godzin — wtedy w sierpniu 1943 r. jakby oszołomiony na nowo poznawanym światem i cudem tylko mu przywrócony. Poszedł wtedy do fotografa, aby ten dzień zamknąć na dłużej, nie tylko dla siebie, lecz i dla bliskich. A może na dzień jego świadomości jarzyła się myśl wyniesiona z ponurych wieżennych godzin, że zdjęcie przetrwa łatwiej czas złowrogi niż człowiek. W liryku „O śmierci“ pisał bowiem: „Śmierć jest ze mną i we mnie. Chodzę w niej jak w płaszczu — wiewając szerokimi rękawami i ciągnąc poły po ziemi szeleszczącej jak blacha“. Ten motyw śmierci powraca w reszcie utworów, urastając w motyw obsesjonalny. Czyżby przecucie? Odblask czasu wpisanego w śmierć?

„Jestem jak ryba — pisze w innym liryku („Spotkanie“) — która połknęła przynętę — smutku i pamięci — a teraz nieubłagany Rybak ciągnie za wędkę i wyrzywa ze mnie wnętrzości, do których kurczowo przywarła dusza“.

Fotografię podarowałem Natalii, tej Natalii ze znanej piosenki „O Natalio, o Na-

glądów, na wytworzenie dobrej woli przyjęcia zasad humanitaryzmu chrześcijańskiego, potępiającego rasizm i nakazującego szacunek i miłość bliźniego.

Zbrodnie wyznawców ideologii rasistowskiej wywołują skutek większy. Otrzęźwiają. Sprawiają, że w obserwowaniu cudzego nieszczęścia, budzi się ludzki, braterski stosunek do prześladowanego.

Mogło się zdawać, że ostatnia wojna wypieni antysemityzm.

Ze w ocenie jednostek żydowskich, żyjących w rodzinach polskich, znajdują się słuszne, ale błiskie i ludzkie, określenia ich wad i ich zalet. Ze zatarte zostaną różnice pochodzenia i jeśli przyjdą nieodłączne od ludzkich spraw, tarcia — będą one miały ten sam charakter walk politycznych, jakie się toczą między zwolennikami różnych programów.

Można stwierdzić, że antysemityzmu o typie zoologiczno-rasistowskim nie ma. Można to stwierdzić choćby na podstawie ogólnonarodowej reakcji na zbrodnię kielecką. Nie mniej pozostałości niechęci rasowej nie znajdują do tej pory właściwego umiejscowienia. Problem anty- i filosemityzmu podkreśla nadal odrębność rasową społeczeństwa żydowskiego, jest pożywką dla potęgowania istniejących różnic.

W bardzo wielu rozmowach z Żydami, prowadzonymi urzędowo i prywatnie podczas okupacji, przewijało się określenie wzajemnego ludzkiego stosunku. Danym mi było z tych rozmów, a nieraz i z bliskiego współżycia, wydobyc praw-

talio, ciebie wielbi cały nasz batalion...“

A mnie pozostał ten tom smutny, pełen rozdarcia — jak wspomnienie:

— Oto jestem na wieczorze autorskim Bojarskiego i Łomienia. Zaciągnął mnie Chmura, którego poznałem przed niespełna miesiącem. Jest październik 1942 r. Chmura jest moim kolegą z wydziału prawnego tajnego uniwersytetu warszawskiego. Wiem, że uczęszcza także na polonistykę. Zaproszenie na wieczór traktuje z należytym szacunkiem jako pewnego rodzaju wyróżnienie: przestają na mnie patrzeć jak na intruza, traktując po koleżeńsku. Ale noblesse oblige!

— Bo widzi pan — „Sztuka i Naród“...

Wiem, już znam te tezy i znam tych, którzy je wypełniają. Przyniosłem kiedyś wiersze, moje pierwsze wiersze Chmurze do oceny:

— Chciałbym abyście się z nimi zapoznali, kolego!

— Pozwolicie, że będzie jeszcze jeden z moich przyjaciół? — pyta taktownie Chmura. Teraz czytając, siedzimy we trzech. Na przeciw mnie siedzi drobny przystojny brunet o pięknie zakrojonych wargach. Nie mówi chwilowo nic. Przeczytał swój wiersz: „Legenda o Homerze“. „Napisałem dziś rano — mówi, jakby tłumacząc się — no i jak?“ Topornicki pyta z łagodnym uśmiechem na twarzy. Chmura zaczyna analizować, podnosi się, zaczyna chodzić po pokoju, pochyła głowę nieco w bok charakterystycznym ruchem, zaciska pięść i zaczyna gestykować. Mówi o poezji. Mówi śpiewnie jakby przedłużał wiersz Topornickiego słowami prostymi, ale wykutymi z płomiennia. Milczę, bo wiem...

— Oto w tej małej salce, a właściwie dużym jadalnym pokoju, skupieni po kątach, na kanapie i na krzesłach konsumenci literatury nawiązują kontakt z jej twórcami. Przy małym stoliku, w skupionym kręgu światła siedzi Bojarski, drugi redaktor naczelny „Sztuki i Narodu“ i czyta fragment swej powieści, drukowany następnie w jednym z numerów tego czasopisma, fragment powieści niedokończonej. Przecięła ją kula zandarma w maju 1943 r., po ucieczce spod pomnika Kopernika, po złożeniu wieńca u kamiennych stóp tego, który pozostał Polakiem. Potym czytał Łomień. To był wieczór pierwszy. W następnym tygodniu wieczór autorski był poświęcony twórczości Chmury i Topornickiego. Chmura odczytywał swoje liryki prozą:

że, że nie było ludzkiego stosunku między Polakiem i Żydem. Że brak tego stosunku istniał u obu stron. Że narosłe krzywdy czy upokorzenia wzniosły mur między obu społeczeństwami. Że przebycie tego muru było równie trudne dla Polaka, jak dla Żyda.

Sprawę żydowską nazwałem w tytule artykułu sprawą ludzką. W treści artykułu nie sięgnąłem do arsenału chrześcijańskiego prawa moralnego, nakazującego to a zakazującego tego. W dłuższym wywodzie spraw politycznych starałem się umieścić ciężar zagadnienia.

Bo o co chodzi? Czy o miłość albo o nienawiść? O wzniosłe pojęcia i nieproporcjonalną do nich praktykę życia?

Ani o jedno, ani o drugie. Chodzi o proste wykazanie, że aby dojść do wniosków, pozwalających określać sprawę żydowską mianem sprawy ludzkiej, trzeba przebrnąć przez trud określenia swego własnego stosunku do narodu żydowskiego. Trzeba znać jego prawo do życia, trzeba uszanować jego cele biologiczne i rozwojowe, trzeba po prostu wytworzyć sobie jego obraz ze wszystkimi tragediami historycznymi i wszystkimi urazami, z tragedii tych wynikającymi.

A poza tym... poza tym przyjąć należy, jako podstawę do układania dalszych stosunków, że oba pojęcia, tak anty-, jak filosemityzm, winny być wykreślone. Oba upokarzają. Oba wzmacniają mur.

Jedyną platformą tarć winna być arena polityczna. W niej zamknąć należy aktualne żale i pretensje. Będzie to ludzkie i sprawiedliwe.

Witold Bieńkowski

EPITATIUM

„Śmierć ojca“, „O śmierci“, „O dniach innych“, Topornicki wiersze, które potem publikował w „Widmach“. Dyskusji nie było, dopiero u wyjścia nastąpiło zwrócenie: któryś z polonistów — pamiętam jeszcze jego sylwetę — zaatakował ten typ poezji, reprezentowany przez grupę „Sztuki i Narodu“. Replikował Bojarski, pełen dowcipu, pełen sarkazmu. W trakcie dyskusji musiał przeciwnika do przyniesienia się, że poezja Reja działa nań podniecająco estetycznie. Wtedy Wacek machnął ręką. Ten gest, mówił wiele: wobec tego dyskutować nawet więcej nie warto!

Pamiętam, poszedłem po Chmurę następnego tygodnia po tym wieczorze autorskim. Mieliśmy iść razem do Bielicich na Wspólną. Chmura miał adres. Poszliśmy, Chmura nieco denerwował się, że jako autor spóźni się trochę na ów wieczór. Było w tym sporo mojej winy, gdyż przyszedłem do jego mieszkania już w pół godziny po terminie rozpoczęcia wieczoru. Poszliśmy cymprzedzej. „To nie tu“ — odpowiedziała jakaś stara babcia. „Bieliccy? Młodzi? Nie znam ich“. Zeszliśmy na dół i na ulicy w świetle latarni Chmura odczytywał po raz wtóry adres. Zgadzało się. Ale trudno: poszliśmy teraz do domu, który nosił numer wskazanego mieszkania i szukaliśmy tam mieszkania, które dla odmiany nosiło numer wskazanego domu. „Może to tak?“ — troskał się Chmura. Ale to też nie było — tak. Po godzinnych poszukiwaniach, przepędzeni niechętnymi spojrzzeniami dozorców, zrezygnowaliśmy. Słuchacze tego wieczoru nie usłyszeli utworów jednego z zapowiadzianych autorów — Chmury. Tymczasem okazało się, że Bieliccy mieszkali naprzeciwko mieszkania tej starej babci, do której bezskutecznie dobijaliśmy się, ale mieszkali w tym mieszkaniu dopiero od dwóch dni. Byli jeszcze niemeldowani: nie znano ich w ów krytyczny wieczór — bo i tam też stukaliśmy — ale na skutek przepełnienia lokalu bali się otworzyć, bo a nuż nie autor, a gestapo...

Przeglądam „Okno“. Szeleszczą karty jak liście: na każdej krew, na każdej wspomnienie:

Oto jest rozpalony maj 1943 r. Stoimy na rogu ulicy. Niskie drzewa pączkują wiosną i zielenią. Topornicki w zielonym kapeluszu, już spokojny i opanowany,

opowiada szczegóły: Chmura aresztowana, Wacek umarł w szpitalu. U jego łóżka czuwał szarozielony cień żandarma. On zaś uciekł. Przed tygodniem wydał swój pierwszy tomik poezji p. t. „Widma“, jako pierwszy tom Biblioteki „Sztuki i Narodu“. Oczywiście na powielacz Po „Poemacie wrzesniowym“ Syrucia, „Wierszach wybranych“ Bugaja i bezimiennym (Borowskiego) tomie „Gdziekolwiek ziemia“ był to już czwarty wydany konspiracyjnie indywidualny tom wierszy, obok licznie publikowanych drukiem antologii. Wtedy, kiedy Chmura przebywał na Pawiaku, zbliżyliśmy się z Topornickim. Był u mnie parokrotnie. Choć mieszkaliśmy okrutnie daleko — spędził dwa dni, bo nie miał gdzie nocować, kupiłem i rozsprzedałem parę egzemplarzy jego „Widm“. Z Chmurą w myśli zegnaliśmy się na wieki. Po Zielonych Świątkach rozeszła się wiadomość, że Niemcy rozstrzelali w pobliskim ghetcie 600 więźniów Pawiaka. A więc Chmura...

Dlatego też radosną niespodzianką był dla mnie telefon jego w sierpniowy wieczór 1943 r., kiedy mi oznajmił, że wrócił. I zaraz mówił o pracach, o poezji, którą skandował w ciasnych więziennych murach, szykując się na śmierć. Dopiero skuteczna interwencja ocaliła go przed zapomnieniem. Ale śmierć, o której tak chętnie pisał, roztoczyła nad nim opiekę. Nie zapomniała.

Przez telefon mówił mi o tym, co napisał — w sensie przenośnym — w więzieniu.

— Wiesz — przeszliśmy nagłe obydwa z akademickiego „wy“ na bardziej braterskie „ty“ w poczuciu solidarności walki — wiesz, wyjeżdżam do domu. Jak wrócę, chciałbym wydać swój tomik wierszy.

— Acha — zazgrzytałem w aparat, Rozumiem — szepnąłem, wyczuwając intencję.

Potrzeba mu było maszyny do pisania i powielacza. Uspokoilem go. „Wracaj szczęśliwie — będą“.

Jeszcze mówił o pracy w „erku“ (Ruchu Kulturowym). Aby wziąć w nim jak najintensywniejszy udział i pomagał Topornickiemu.

Poza oknem, przez które teraz patrzę, niskie chmury czołgają się po niebie wyblakłym jak cyna. Dwie topole czerniąte ogniem, otoczone tkanką zieleni, piętrzą się w błękit jak korzenie odwróconych roślin, wpływając barwą czarnych konarów w niebo.

Czytam:

„Po przez pnie drzew zwałonych Anna opuszczeniem zmęczonych powiek daje znak, że śnieg pada ciągle i będzie się wznosił coraz wyżej.

Gdyby teraz odezwał się świerszcz, wyrzeźbiłby ściany w naiwny rysunek odległych więzów i uśmiech matki prosty jak krzyż.

Teraz Bóg tkwi mi na piersiach jak kleszcz i rośnie wypełniając się moją krwią.

Jestem okrągłym kamieniem, który pałszy do góry.

Gdybym nauczył się modlić, może stałbym się jak dym“.

Poeta w poemacie, może cyklu, p. t. „Okno“, relacjonuje prawdę więzienia. Dojście do Boga, w codziennych zmaganiach myśli, otwiera prawdę najpierwszą. Oto sens istnienia, warunkowany przez NIEZNANEGO. Poeta w wyczerpanych zdaniach łamie się, szuka, błądzi, aby dojrzeć. Spowiada się z tej troski w innym, jakże pięknym liryku p. t. „Spotkanie“:

„Węszącemu za dowcipem i metafizyką osuwa się ciężko na piersi nagła i nieudolna potrzeba Boga. Bo zegary łkają rozpedzone po zagmatwanych szlakach. Zaraz potem głośny jego oddech rzuca o ziemię. Kamienne zrozumienie wgniatą w płaszczyznę świata pustoszącego gwałtownie. Z chwilą gdy pustka przenosi się z przestrzeni w czas można widzieć daleko, prawie przy końcu wysokie jaskinie kościołów dzieciństwa pokłutych konstelacjami świateł“.

Wrócił z prowincji pod koniec września tego roku. Nie chciano go stamtąd puścić do Warszawy. Urastało to mia-
sto w wizji okropnej: nadchodził czas

Tadeusz Gajcy
(Karol Topornicki)

Przyjacielowi w drodze

MARKOWI CHMURZE

Patrzysz nisko i spojrzenie srebrne
oczu twoich jest radosnym światłem
w drodze naszej odmierzanej sercem
jak księżycem. Puszyste od wiatru
płyną drzewa przed nami pod powietrza nur,
wieczór jak dno studni mały jest i lśniący
i głów naszych w gałęziach kołyszą się kolce
i pył roślinny wstaje u zmęczonych nóg.

Nie jeden dzień, nie jedno słowo
mamy za sobą w drodze naszej
i kędzierzawy w górze obłok
jak piana morską zna już krok,
co mijać chce i być żelaznym,
a ciągle jak todyga miękka
gnie się, gdy wiatru rączy prąd

uderza nagle. Żył zatoki
na skroniach słona krew porusza
i nie ma miejsca już na laur
choć piorun spada, bronie grają
i śpiew podnoszą młode usta.
I piórem ptasim ogień lśni się
ponad wzorzystym snem człowieka.

I nas splecionych jak uściskiem
spojrzeniem mocnym — niesie wiernie
przez trudny dzień, oporne słowo,
gdzie sen otacza jak ramieniem
i bezimienna ziemia lekka
wydaje kwiat spryskany sercem.

1944

twardej próby. Ale Chmura nie patrzył wstecz na przebyte cierpienia w więzieniu. Walka miała jeden tylko mocny ton: walczyć nadal. Nie ugiąć się. Płaszczyzna stawała się nieco inną. Barbarzyństwu okupanta przeciwstawiała się garstka strażników, walczących bronią i garstka, którzy walczyli poezją. Sztuka przestała już być prywatnym westchnieniem autora. „Sztuka i Naród“ wyznaczyła artystom w walce o wolność rangę najwyższą: waga stawki o którą walczył cały naród warunkowała ją. Chmura wracał do walki.

Pod koniec października sprowadził się do mnie z walizką, pełną papieru powielaczowego. Ja, klnąc go w duchu i na głos, przyniosłem już uprzednio klisze do powielania. Osobno była drukowana okładka, nie systemem „powielaczowym“, a na „prawdziwej“ maszynie drukarskiej. Przez trzy dni było u mnie gwarano. Zapędzony przez Chmurę jako maszynistka (przyjmuje wszelkie błędy w przepisywaniu na siebie) „drukowałem“ jego tomik wierszy. A Chmura był wymagającym. Nieraz na skutek drobnego błędu musiałem niszczyć kliszę i przepisywać na nowo. Ale broniłem się przed tym jak tylko mogłem, tłumacząc mu, że klisz nie starczy, że koszt tomiku zwiększy się niepomniernie, ale Chmura stał nadęty i dyktował godzinami. „Pisz ty“ — powiedziałem kiedyś mając już dość tej roboty. Zasiadł do maszyny, ale pisał tak nieudolnie, że rozśmieszył mnie tym samym i zaraz go też zastąpiłem. Czasami zawodził t. zw. układ graficzny i trzeba było jeszcze raz przepisywać na nowo. Tym czasem Chmura tłoczył. Był cały przejęty tą robotą, nieustannie zapypywał mnie, podchlebając mi: „Leszek, popatrz, czy dobrze, masz przecież w tym wprawę?“ I wskazywał na rozłożony na krześle skrypt do prawa kościelnego, opracowany i wydany przeze mnie (t. j. tylko pierwsza część: „Stosunek kościoła i państwa“). Uległem i pracowaliśmy zajadłe we dwóch. Dzwonił często Topornicki, dopytując się o losy druku. Chmura był opętany pracą. Ręce miał brudne od farby drukarskiej, potem farba przeniosła się na ubranie, wreszcie — wybuchnąłem śmiechem — Chmura na czole miał odcisniętą czarną linię, pobrudził się na skutek odgarnięcia włosów. Przerwał pracę i spojrzał na mnie jakby z wyrzutem. Ale nadal wziął się do tłoczenia. Powielacz był niezwykle prymitywny, najwykleszy, ręczny. Stał tłoczenie kosztowało wiele trudu i... napisanego papieru. Piętrzył się on na stole, na krzesłach, na szafie aż wreszcie zasał całą podłogę. Chmura tłoczył wytrwale, ja pogwizdywałem i kończyłem

przepisywać na maszynie. Tom był niebawem gotów. Nadszedł Topornicki, który miał pomóc Chmurze w przeniesieniu tego wszystkiego do drukarni, gdzie tomik miał być zbroszowany. Czas był niespokojny, na każdym rogu czatował patrol żandarmerii. Na murach, wypalonych walką 1939 r. widniały chropawe znaki OKTOBER. Przenieśli szczęśliwie jednak. Chmura dźwigając sporą walizkę grał rolę zmęczonego podróżnego.

W parę dni potem otrzymałem jeden z pierwszych egzemplarzy „Okna“, domagając się jako „wydawca“ skolei tomu podpisanego numerem pierwszym. Kto go dostał — nie wiem. Przypuszczam jednak, że nie było wogóle pierwszych trzech numerów i że rzeczywiście mój czwarty spełniał rolę pierwszego egzemplarza rzuconego na rynek.

W parę dni później po wydrukowaniu „OKNA“ został przypadkowo aresztowany Stanisław Łomień, redaktor „Sztuki i Narodu“. W tydzień później został rozstrzelany w jednej egzekucji publicznej. Czerwoną afisz przyniósł jego fałszywe zresztą nazwisko zaschłe czarnymi znakami, jak wąskie ślady krwi.

Oto płonie wspomnieniem spotkanie „powstańcze“. Jeszcze widzę ich dwóch: Chmurę i Topornickiego, w ostatnich dniach lipca. Nasze losy waga się w dłoniach Boga. Topornicki jest pelen nadziei i śpiewa swoje piosenki wojskowe. Zwierza mi się z swych planów. Chmura jest skupiony, już nie poeta, ale kapral-podchorąży AK. Chmura, dowódca drużyny w broni zmotoryzowanej. „Przenieś się do mnie — do nas — poprawia — jest Topornicki — ściągamy wszystkich naszych ze „Sztuki i Narodu“ i z „Dźwigarów“! Śmieję się i odmawiam. Chmura jakby smutnieje, ale dorzuca jeszcze: „Nie zapominaj, będzie to drużyna przyjaciół, samych literatów...“.

Jeszcze pierwszy sierpnia. Skulone niebo z obwisłymi deszczem obłokami. W nerwowym marszu przemierzające miasto gromadki młodych. Chcę się z nim pożegnać, ale Chmury już nie ma. Wyczekuje na punkcie uderzeniowym. Trwa na nowym posterunku, w walce przestacza się. Zamiast pióra dłoń poety dźwiga — Stena.

Potem długie dni i krótkie noce. Długie dni walki i wytężenia i krótkie noce wspomnień. Spotykamy się ze wspólnymi przyjaciółmi: wspomniamy tamtych dwóch. Jesień kłóci się czerwienią liści: sypią się na groby powstańcze z drzew, poranionych pociskami dział artyleryjskich. Potem walka: meldunki coraz tragiczniejsze. Npł. wdziera się na Kolonię Idzikowskiego, Fort Legionów Dąbrowskiego w rękach niemieckich. Kurczy się zastraszająco ilość amunicji,

topnieją szeregi obrońców. Ale w oczach wciąż płonie zwycięstwo. Tymczasem nocą słychać ciężkie dudnienie czołgów, pancerna dywizja otacza Mokotów stalowym kręgiem. Ogień artylerii koncentruje się na niewielkim odcinku, „krowy“, samoloty, Mokotów kona. Przeciw stygnącym w dłoniach kabe bez odpowiedniej ilości amunicji i przeciw oddziałom pozbawionym broni maszynowej, suną do natarcia stalowe cielska SS-Panzer Division „Hermann Goering“. Skupione na wąskiej przestrzeni oddziały będą walczyć do ostatniego naboju. Ale część z nich przedziera się do śródmieścia drogą podziemną — kanałami.

Idziemy zastygli w mrok, nieznający drogi, ani najprostszego wytyczenia tras. Prowadzi nas ufność. Cofnąć się i tak nie możemy. Przed piętnastoma minutami wiaz-studzienkę na ul. Wiktorskiej, którą wchodziliśmy, zasypało na skutek bombardowania. Czuliśmy dokładnie, jak kanał huśta łagodnie, jak hamak i nie jeden z nas, zaciskając zęby, odczuwał próśnienie pyłu z betonowego sklepienia. Wiaz został zasypany, pozostawało już tylko: naprzód. Nie idziemy, a brniemy w szalonym pośpiechu, jakby chcąc uciec straszliwej chwili. Wreszcie po trzynastu godzinach marszu, otwiera się przed nami, nad wiazem, gwiazdzone niebo. Półprzytomny domyślam się, gdzie jesteśmy. Noc deformuje kształty kamienic i poszerza. Nie mogę poznać ulicy, na której leżą napłask, wyciągany z kanału przez kolegów. Mrugam oczyma: Wilcza? Ujazdowskie? Czuję się, jak aktor za kulisami, któremu tok sztuki nakazuje pokazać się na scenie. Wreszcie noc zimna, nieomal październikowa. Przy wybitych szybach śpiomy przemokli i wycieńczeni. Rano, mimo oporu wartownika, pobiegłem po wodę. Zdobyc ją w Warszawie powstańczej nie było rzeczą tak łatwą, ale napotkałem ludzi, którzy mi w tym pomogli. Zaczęliśmy rozmawiać. Byli młodzi, w „tygrysach“. Byli ze Starówki. Opowiadali o swoim przejściu kanałami. Pytam, rzucając na chybił trafił imię Chmury i Topornickiego. Określam oddział, w którym mogli się przypuszczalnie znajdować. Kiwają głowami:

— Nie żyją!

Nie rozumiem. Muszę się pytać powtórnie: nie żyją? Chmura?

— Zginęli, wysadzeni w powietrze w domu na ulicy Przejazd 1.

Nie wierzę, pytam po raz trzeci, pełny jakiejś trwożnej nadziei. Chmura? Topornicki? Topornickiego nie znają, ale był Topór. Proszę, aby mi jeszcze określili ich, opisali. Jeden z podchorążych charakteryzuje Chmurę, mówi o Toporze. Stoję przy studni z blaszanym wiadrem i szepczę cicho, jak najciszej:

— To moi najlepsi przyjaciele.

Widzę tę noc. Jest poniedziałek, 14 sierpnia 1944 r. Nieprzyjaciół czołgami naciera w rejonie ulicy Leszno. Jest spokojne niebo o gwiazdach licznych. Jest spokój w przyrodzie; ale za to powietrze drży od huku wystrzałów i od jazgotliwego rzęgotania karabinów maszynowych. Gdzie niedługo pyknie odwodzony z suchym trzaskiem granatnik.

Idą w stronę Leszna na patrol. Na ochotnika. Idzie dwudziestu, prowadzi podchorąży Chmura. Dookoła płoną domy i wieniec płomieni otacza całą dzielnicę. Nocą jest spokoj, gwiazdy się jarzą, jak odbłyśki pocisków. Czasem któraś z nich przekreśli sierpniowe niebo, opadając w kikuty martwych ruin. Wiatr łagodny i ciepły, próśny ceglany pyłem. Idą skupieni i czujni, prowadzi Chmura. Jest noc, zamykająca swym bezmiarom granatową przestrzeń. Pod nogami pełno gruzów i kawałków cegieł. Trzeba skręcając w Leszno, obejść barykadę. Idą więc we wnętrze spróchniałego domu. Wchodzą powoli, czujnym krokiem, jakby wymierzając odległość do nieprzyjaciela. Od Leszna dobiega tłumiony huk motorów. Niemcy dowożą posiłki. Nagle, jak gwiazda osuwająca się przez niebo ku ziemi, dom zamyka ich całym swym ciężarem.

„I ten stuk trzeba zebrać by potem w świetle krzyżów, rzuconych cieniem krat na ścianę odgarnąć go jak robactwo z ciała przerażonego ojczyzną i Bogiem“.

(Chmura: „Okno“, fragment 6).

Lesław M. Bartelski

W kraju...

ZŁA PRZYSŁUGA.

Od dłuższego czasu modne są na łamach prasy ataki na poszczególnych dostojników kościelnych w Polsce. Nie będziemy tu oceniać poziomu tych wystąpień, które w większości wypadków pozostawiają wiele do życzenia. Nie będziemy się też wdawać w ich ocenę merytoryczną. W tej chwili chodzi nam o coś innego, o ich metodę.

Z reguły atakujący publicyści zastrzegają się, że — bronią Boże — nie atakują katolicyzmu jako takiego, że katolicyzm może i powinien odegrać poważną rolę w normalizacji stosunków w Polsce. Co do tego ostatniego poglądu jesteśmy całkowicie zgodni. Jeśli się jednak rzeczywiście od katolicyzmu czegoś oczekuje, to nie można go podkopywać. Atakowanie zaś i podważanie autorytetu jednych jego przedstawicieli, a tendencyjne komplementy pod adresem innych jest — miejmy nadzieję nieświadomą próbą — siania zamętu, które daje wręcz odwrotne skutki od zamierzonego.

Nie jest też słuszne dopatrywanie się jakiegoś rozdwojenia między Episkopatem z jednej strony, a niższym duchowieństwem, czy też jakimiś kołami świeckich katolików z drugiej. Casus ks. Weryńskiego okazał się tendencyjnym wyolbrzymianiem faktu, który w dodatku w ogóle nie miał miejsca. Jeśli zaś chodzi o świeckich katolików, to sprawa jest prosta. W sprawach wiary prawdziwy katolik jest zawsze katolikiem i lojalnym wobec władz kościelnych. W sprawach innych, np. politycznych, ma swobodę przekonania i działania o tyle, o ile nie wchodzi w kolizję z nakazami moralności. Jeśli w tej czy w innej kwestii nie religijnej natury różni się ze stanowiskiem tego czy innego przedstawiciela Kościoła, to zachowując swe przekonania w teorii i w działaniu praktycznym, zawsze będzie dalekim od naruszania autorytetu hierarchii kościelnej.

Tendycyjne wyolbrzymianie różnic, próby przeciwstawiania sobie poszczególnych środowisk katolickich, prowadzi tylko do skrupowania swobody wypowiedzi i uniemożliwienia swobodnej dyskusji.

Chyba tego nie pragną „mentorzy“?

CZY NIE ZA WCZESNIE?

Na łamach naszej prasy codziennej pojawiły się artykuły, które określić można jako początek kampanii wyborczej. Na łamach „Gazety Ludowej“ otworzył ją poseł Bańczyk. „Rzeczpospolita“ nie pozostała mu dłużna, w odpowiedzi, stwierdziła w niej nawet oficjalnie, iż uważa ją za inaugurację kampanii.

Czy jednak trochę nie za wcześnie? Termin wyborów nie został jeszcze określony ściśle. Ordynacja wyborcza jeszcze nie została ustalona. Czekamy nas jeszcze przed tym jedną sesją Krajowej Rady Narodowej. Jeśli więc zrozumieliśmy byliby wypowiedzi, dotyczące się zadań i atmosfery najbliższych obrad KRN, o tyle wszczynanie dziś walki wyborczej wydaje się być posunięciem utrudniającym i tak nie łatwą sytuację polityczną. A wyborów to nie przyspieszy.

Aby rozgrywki wyborcze stały się naprawdę pozytywnym elementem, kształtującym nasze życie wewnętrznie - polityczne, muszą one być przeprowadzone w odpowiednim klimacie politycznym, po ostatecznym sprecyzowaniu stanowiska poszczególnych walczących stron. Dziś, ośmielamy się twierdzić, klimat taki jeszcze nie istnieje.

Dziwnie też krzyżuje się moment otwarcia kampanii wyborczej z nową inicjatywą PPS, próbującą odnową konsolidować zachwianą jedność narodową. Inicjatywa jeszcze w powijakach. Warto by poczekać, aż się ona skryształizuje. W każdym razie przechodzenie do porządku dziennego nad nią byłoby dowodem daleko idącej nierozwagi.

Przedwczesne stwarzanie atmosfery walk przed wyborczych może tylko wywołać nastrój wzmożonego podniecenia i rozgorączkowania w momencie, gdy naród winien wykazać spokój i rozsądek.

Oliwę trzeba dolewać nie do ognia, lecz na wzburzone fale naszego życia politycznego.

Piotr zrywa się z kanapki, bo huczy dokoła. Gasnie rżenie granatu, który rozrywa się z trzaskiem pomiędzy domami.

Szyb już dawno nie ma. Krwawe niebo grzmi. Czołgi biją donośnym łomotem w stare uliczki. Płonie dokoła. Świs. Piotr kuli się pod oknem. Błysk i huk. Świs. Błysk i huk. Cisza podsztyta tylko nieustannym pruciem karabinów maszynowych.

— Hum! Hum! Hum! — ujadają Tygrysy na placu Zamkowym. Rozdzierają się, jak płótno, serie z pistoletów. Natarcie idzie.

Piotr zbiega na dół. W bramie widzi „Przebiegłego“.

— Gorąco jest — ciągnie jakieś taśmy z nabojami i znika za drzwiami. Za sylwetką barykady migają cienie. Odzywa się nagle zupełnie bliski karabin maszynowy. To już nasza barykada.

Trrram, tak — taktaktaktak. Znow jęcza domy od sękania Tygrysów. Świs. Huk. I świst. Huk — i świst — sypie się, sypie, leci, trzeszczy, łomocze.

Tak tak taktak tak tak. Tak, tak, taktaktak.

— Rezerwa! — ryczy „Orfeusz“ wpadając do bramy. Czarne postacie wybierają na tle łuny. Znow trzeszczy nasz karabin. Cel blisko. A niemieckie kulmioty nieustannie prują. Tylko nisko pod ścianami można biegać. Sześciokrotnie, krótkie, skrzyjące wycie: — Szafa!

— Kryć się! I trzęsienie ziemi — podmuchy polatują, rozsadzają, szarpia istniejącymi jeszcze domami. Tak tak tak. Hum. Hum. Hum.

— Po rannych! — wpada znow Orfeusz. Piotr chwytą nosze. Jest ktoś dru-

BLOK WYBORCZY ZNOWU.

SERIA artykułów premiera Osóbki-Morawskiego w „Robotniku“ na temat jednoci narodowej zainaugurowała wzmożoną aktywność polityczną PPS. O ile pierwszy artykuł miał charakter dość ogólnikowy, o tyle dalsze, wraz z mową posła Cyrankiewicza na wiecu PPS i OM-TUR w Romie przyczyniły się do sprecyzowania niektórych szczegółów. Jest to jednak dopiero początek.

Jasnym jest przede wszystkim, że nowa inicjatywa polityczna wzięła w swe ręce PPS. Idzie o nową próbę stworzenia bloku wyborczego. Akcenty wiary w moźność stworzenia pełnowartościowego bloku znajdują się tak w artykułach premiera, jak i w mowie posła Cyrankiewicza, który już wyraźnie mówił o próbie stwózenia bloku wszystkich stronnictw. Można się zatem spodziewać, między innymi, podjęcia rokowań między czwórprzymierzem a PSL. W każdym razie w obecnym okresie punkt ciężkości tej inicjatywy przesuwa się raczej z łam prasy do zacisznych gabinetów i sal konferencyjnych. O skutkach dopiero będzie się pisać.

Obaj wybitni przedstawiciele PPS poruszyli zresztą narówni zagadnienie rozszerzenia rozmów, jak i zagadnienie stosunków wewnętrznych między partnerami czwórprzymierza. Na tej ostatniej płaszczyźnie na plan pierwszy wyblja się zagadnienie stosunków pomiędzy obiema partiami robotniczymi.

Zagadnienie stosunków między PPS i PPR należy niewątpliwie do istotnych i interesujących, ze względu na swe znaczenie, nie tylko obie partie robotnicze, lecz również i ogół opinii publicznej. Biorąc pod uwagę rolę, jaką PPS i PPR odgrywają w dzisiejszej rzeczywistości, trudno nie stwierdzić, że wszelkie zakłócenia równowagi na tym odcinku mogłyby mieć poważne i niepokojące skutki. Nie ulega też wątpliwości, że wyciągnięcie tych problemów na światło dzienne, będzie miało swe duże pozytywne znaczenie i wyjaśni wszelkie wątpliwości.

Oceńając całość inicjatywy w jej obecnym stadium — trudno jest z góry przewidzieć jej szanse powodzenia. Zależy ono, jak stwierdził premier, od dobrej woli, umiaru i poczucia rzeczywistości, wchodzących w grę partnerów. Zależy też będzie od tego, czy wszystkie czynniki, odgrywające pozytywną rolę i mieszczące się w ramach nowej rzeczywistości znajdują należne sobie miejsce w narodowej jednoci.

Jan Białostocki

gi. Na placu Kanonii jest prawie jasno, przekradają się pod murem, po stosie cegieł, rumowiska belek, wapna i ziemi. Trzeszczy i płonie dokoła. Noc goręje i huczy. Długie serie niemieckie fruują nad głową. Świszcza w przelocie. Co tam się jeszcze pali — tam gdzie zamek — jaki materiał płomień tam ciągle znajduje. I znow kilkakrotny skrzyp.

Szafa nocą. Nie bywało dotąd. Dudni po dachach i rzuca o ziemię podmuchem. Piotr leżąc pod murem patrzy w głąb. Czerwień kotłuje się i wre — dymy, płomienie i łuny. A czołgi nieustannie biją w coś, niewidzialne po za szkarłatnym mrokiem, po za tryskającymi gwiazdami wybuchów rozbijają, rozdzierają drogę.

Tak, tak — aktaktak tak. Nad głową wali nasz jedyny CKM.

— Przebiegły dawaj taśmy!

— Gdzie ranny?

— Tutaj. — Splywajcie. Jest smród. Idzie piechota. Z trzaskiem pęka pocisk na murze katedry. Jęk. I znow gwizd. Huk w Jezuićkiej. I znow trzykrotny skrzyp szafy. Dalekie rakiety. Padnij. Błyskają wybuchy po dachach. I nagły smród benzolu — ogień.

— Pali się! Cholera... Tak tak tak tak tak. Niosą rannego. Jest ciężki. Odrzuca na lewo. Jezuićką. Tu jest ciemniej i nie słyhać tak głośno. Jakby nad głową przeslizguje się gwizd pocisku, który przelatuje ciężko ponad ulicą i rozrywa się gdzieś dalej.

— Dalej, musimy aż na Długą. Tu już jest zlikwidowane. Barykada przy Celnej — minąć labiryntem zwalona latarnia pod nogami. Rynek płonie w jednym rogu. Kamienice po stronie Baryczków ciemnieją na tle pożaru Nowomiejskiej. W dole Celnej od strony Brzozowej i PKO zrywają się długie serie strzałów. I tam wre bój. Rozgorzało. Ciągłe pod murem przez barykadę przy schodkach, na Krzywe Koło. Tam płoną domy od strony Brzozowej. Na lewo — zakrętem, później w bramę, podwórze, jasne od pożaru Freta i Mostowej — przebiec linię niemieckiego obstrzału z poza katedry — do murów. Później (pali się w głębi Podwale, Długa i Franciszkańska — na prawo w ruinach pełgają błękitne ogieńki dogasającej pożogi) — do Podwala.

Ranny jest ciężki. Gruz i cegły pod nogami. Piotr unosi na moment głowę i w tej chwili widzi na pałającej odłaskiem ognia ścianie olbrzymie dwie czarne postacie schyłone i dźwigające długi kształt człowieka. Cienie te wydłużały się i tańczyły na murze zgodnie z migotaniem płamieni rzucających światło — gigantyczne i nieokreślone kroczyły drogą olbrzymów po nad ogniem i spustoszeniem samotni wędrowcy płonącego miasta — aż dobiegły innego ogniska pożaru i tam utonęły w przyplwywie i chaosie płomiennym — przybyły z ognia odeszły w ogień — zwiły pełne grozy. Pustkowie rumowisko, fale gorąca wiejące aż do rozżarzonych domów. Drobne postacie przemijają ulicą na tle parzącej białości pożaru, jedne za drugą pędzą w ucieczce bez końca. Wojna wyje bohaterstwem, poświęceniem, śmiercią — wyje ku niebu, które nie daje ochłody, które odbłyskiem piekła się stało, które faluje grzywami dymów, unoszących na sobie przemijający obraz zagłady. Dalekie, chłodne wieńce gwiazd utonęły w ciemnych chmurach, zaszyły za horyzont — czy nigdy ich nie zobaczymy? Iskry padają z tego nieba zarzewiem nowych pożarów, całe ich konstelacje, tumany rozpylone w nocy przesyconej szkarłatem we wszystkich wymiarach, opadają jak śnieg ipromienny — deszczem przekleństwa, błogostawieństwem unicestwienia Pożary parują i z krwistych obłoków gradem ognistym zapładniają pogorzelsko do ostatecznej pożogi.

„Krzywa Latarnia“. W dół po schodach sam. Jęki w ciemności. Pod ostrołukami starych sklepień wędrują nikle płomyki świec. Eter i krew. Niema miejsca. Do ministerstwa. W hallu na podłodze — szeregiem nosze. Błoto, ciemno — tynk, cegły — przeciąg przelatuje przez klatkę schodową — niesie daleki

ŚMIERĆ

oddech pożarów. Brak miejsca. Więc Piotr pyta o Martę. Jest. Przez podwórze zawalone gruzem i dachówką (wózki rozbitych samochodów — krata czarnych krokwi i napót spalonego dachu na tle łuny) na lewo w dół, korytarzem na prawo. Nosze, nosze, jakieś ciała po kątach, znów eter, jodyna, duszność szpitalna pełna cierpienia i śmierci. W sali — jest:

— Dobrywieczór. Jest blade a jednocześnie czarna na twarzy.

— Mam rannego.

— Wszyscy na ziemi — i tak. Rozpacz. Dajcie... Niosą. W Kilińskiego rwą się szrapiele. Nad Miodową tryskają iskry. Od placu Krasieńskich słyhać palbę i trzask karabinów maszynowych na barykadzie koło Bielańskiej. Czołgi biją na Bonifraterskiej. Niebo płonie.

— U nas natarcie. Przez Zamek i za katedrą. Czołgi i piechota. PKO zdaje się wzięte. Pali się. Jacek na służbie. Widziałas go?

— Widziałam. Nie chciałam. Zauważyłam, że ukrywał się przede mną. Boi się, że pomyślę, że udaję bohatera. Wszystko naopak. A ja płakałabym tylko — gdybym miała czas. On woli zginąć niż zmienić teorię. Albo chce sobie koniecznie udowodnić, że nie jest takim, jakim jest naprawdę. Obniża się. Chce być zwyczajny. Czemu on zawsze robi na odwrot. Nawet naprzekór swej inności. I wychodzi, że każdy jest dziś taki jak on.

— A ty.

— To co innego. Jacek — przecież... Boże, ja nie wiem naprawdę, nic nie rozumiem. Ale ja nie chcę za nic, żeby on zginął. Spojrzała później w oczy Piotra ciemnym, miękkim wzrokiem, pełnym wyczerpania. Wiedziała przecież, że on rozumie i nie ma jej za złe.

— Boję się, że u nas zadecyduje dzisiejsza noc — powiedział cicho i spokojnie. Marta spostrzegła, jak kontrastował z jej zdenerwowaniem i rozpaczą jego nieustępliwy spokój — jakby nie z tego świata. Powiedziała:

— Przyjdiesz wtedy tutaj.

— Nie, ja zostaję u siebie.

— Co to znaczy?

— Nie opuszczam mojego domu.

— Co ty gadasz? Przyjdiesz tu. Tu będzie najdłużej. (Tak samo czerwona noc kopuła zawarła się nad nimi wiosną roku zeszłego — Marta na chwilę zapomina o Jacku). A jeżeli doczekamy końca — że i tu przyjdą.

Miękkie znudzone spojrzenie ślizga się po stalowych oczach Piotra. Ale one są nie z tego świata.

— Przez kilka dni czułem na szyi zaciskającą się żelazną obręcz, która dławiała z godziny na godzinę. Teraz minęło. To nie ma celu... Jedno tylko umiem. Zresztą dajmonion tak chce. Przecież tu czy tam? Zostaję u siebie — wypowiedziała te słowa z głębi, powtarzała z uporem, z przekonaniem. Nagły lek chwytą słabe serce Marty. Wszystko jest potworne. Trwoga gna długimi, czarnymi korytarzami szpitala — niosą za nią dalekie jęki konających.

Trzask gdzieś nad głową. Sypie się, sypie, sypie... Szyby brzęczą tylko z dala zdziwione, że dotąd nie uległy rozbiciu. Ujada czołg na Bonifraterskiej. Oczy Piotra są nadal stalowe. Marta wie, że to siła rezygnacji.

— Pali się katedra, rynek, Kanonia. Cała Warszawa płonie... Książki i rękopisy. Wszystkie myśli spłoną — pomyśl. Na co czekać. Ognista obręcz zamyka się. Pożar chłonie wszystko po wypełnieniu czasu.

— Mój ojciec umarł pisząc — godna śmierć humanisty. Każdemu własna.. Dowidzenia Marto, bądź zdrowa.

— Przyjdiesz Piotrze, powiedz, że przyjdiesz. — Czemuż oni są wszyscy tacy? Oczy jej są tak słabe i zrozpaczone, że nie mogą sięgnąć stalowych oczu Piotra. A może one naprawdę nie są już z tego świata? Cóż ma mówić? Ciemno przed nią. Wirują sienniki. Krew, biel i krew. Opiera się o ścianę. Rozumie nagle. Skazani wszyscy

PIOTRA

(Rozdział w powieści „Trzcimy”)

Piotr długo ścisnął dłoń. Odwraca się i odchodzi. Marta stała ba nim, chwyciła go za ramię i nie puściła. Ale stoi bezsilna, oparta o biały mur w podziemiu ministerstwa sprawiedliwości. I nie może się ruszyć. Nic, nic żadnej myśli. A później — nagle znów do pracy: krew, bandaże, śmierć. I znów żadnej myśli.

* * *

Gdy Piotr stanął u wylotu ulicy Jezuickiej zobaczył, że cały rząd domów płonie. Nad jego mieszkaniem, o piętro wyżej palił się dach. Huragan ognia kabinowego i artyleryjskiego. Tryskały co chwila granaty i pociski lecące z Pragi. Ponad zamkiem błyszczały rakiety. I dudniły dalej czołgi. Piotr przebiegł obstrzał — do bramy. Orfeusz właśnie z niej wypadł:

— Gasić! — krzyczał w przelocie — Gasić, to jest ostona!

Schody w górę i w dół. Jacys ludzie. Czarne sylwetki. Kubły z wodą. Wielka beczka w kącie. Coś leje się z góry na głowę i na palto. Wyżej, wyżej. Piotr dźwiga wiadro ponad trzecie piętro, na strych, tam ktoś jeden — wylewa przyniesioną wodę i rąbie łaty. Dokoła ogień. Gorąco idzie od niego i gryzący dym, który opływa sylwetkę polewającego.

Świst przelatuje nad głową. Błysk i trzask. Znow w katedrę. A w dole wre płatanina kanonady. Wiadra z dołu podpływają mrokiem. Piotr dźwiga je w górę — jednemu co w dymie a on polewa. Puste kubły w dół. I znów podchodzą pod ręce: miski, szafliki, dzieże, garnki, kotły, czajniki. Dym gryzie w oczy. Czarna sylwetka pracuje spokojnie i wytrwale. Ogień stoi półkolem jak czerń, na odległości miecza Podbięty, gorzej i wysuwa na przedpole placówki. Zachodzi bokiem i atakuje znów. Od tyłu wyskakują nagle, śmieje się diabelnie po czarnych, osmalonych już dawniej belkach, a gdy samotny odwraca się i tam chluszcze wodą, szerokim frontem ruszają płomienie na poprzednim odcinku i nacierają na niego nieustępliwie. Gorąco wzrasta. Piotr wydstaje się wyżej i zajmuje miejsce na resztkach podłogi strychowej.

Świst przesłizguje się tuż nad głową. Przysiadają ogłuszeni gdy trzaska grom ponad barykadą. I znów woda. Piotr leje teraz od strony ulicy, tamten od skarpy. Dookoła kłębi się — z przodu i z tyłu płomienie szaleją, gryzły ich, rozbujały — wysoko złocistym barokiem, gryzą, niweczą i rozlewają coraz szerzej. Cichy, obojętny trzask walących się belek. Tak, tak, tak — dochodzi z dołu i czołg raz, drugi, raz, drugi. Po dwa, Raz. Po dwa. Ogień zyskuje powoli na terenie. Tamten rąbie krokwie i zwała w dół. Piotr leje wodę. Czuję, że beznadziejnie. Ogień jest przecież wszędzie. Noc płonie.

— Panie, weź pan siekiere. Na nie woda!... Piotr schodzi w głąb, na ciemne schody. Następnemu poleca wyjść na górę. Zbiega na dół. Patrzy w głąb mieszkania. Wybite okna. Woda jakaś przecieka i kapie powoli na czarną płytę fortepianu. Wiatr między oknami delikatnie kartkuje rozrzucone książki. Wpada Orfeusz.

— Likwiduję! — Barykada stracona. Opuszczam za kilka minut. Wycofujemy się w Jezuicką. Wszystko się pali. Wynosić tłumoki! — Cholerne natarcie, panie, ja nie nie poradzę. Trudno, skróćmy front. Tak, tak, tak tak tak tak! Prawie bez ustanku coraz dłuższe grzmią niemieckie salwy. Jedna goni drugą. Huczy czołg. Orfeusz grzebie w ciemnym kącie, gdzie leży broń. Worki z żywnością na plecy. Piotr po mokrych schodach, gdzie kapie woda. Ślizga się, przewraca i spada w dół. Podnosi się, na ulicę — worki pod ścianą. Do piwnicy po resztę. Tam już Orfeusz zarządza wyjście: „Dom się pali i znajdzie się niebawem na linii frontu, dla ostrożności należy wyjść. Za chwilę może się sytuacja zmienić i znów...”. Wychodzić. Ale oni przecież i tak wiedzą. Jedno za drugim, walizy, tłumoki, plecaki, dzieci, staruchy — pies.

— Prędzej, prędzej!...

Stają u bramy, wahają się moment przed opuszczeniem własnego domu po raz ostatni. Wreszcie nieśmiało, w rozpa-

czliwym pierwszym kroku pod krwawą noc — wychodzą. Pod murami pędzą przez gruz, rumowisko i ciemność. Dookąd? Wszędzie ogień, wszędzie front. Pod niebem łun i pożogi, w tę noc eksplozującą kanonadą przebiegają tabuny oszalałych ludzi przez zryte i spalone miasto. Karawany przeciągają ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód. Fala odbija się od zamku i przenika ruinami do placu Krasiańskich, tam cofa się przed strzelaniną i pożarem i wraca tą samą drogą zwalonych murów, osmalonych baszt, samotnie sterczących, wysokich ścian, rozbitych bram, spalonych domów, pełnej belek, cegieł, drutów, zwiniętych latarni, pociętych blach dachowych — depcą świeże mogiły, trafiając zabitych i unosząc swój dobytek, jak ślimaki, jak

Diogeneowskie, oszaleli ogniem, dźwigający worki, walizy, toboły. Płaczą dzieci i milczą dorośli. Oczy wyschły i żyły są nieznane. Jest upór i — ciągle to samo. Rozpacz i lęk są w źrenicach. I milcząca noc od wschodu i milczące niebo wymarzonej pomocy ukryte w lunach. Więc czarne tabuny jak mrowie przez miasto zburzone. A ogień jest wszędzie i wszędzie pociski i śmierć. Wyjścia nie ma. Więc znów tam i spowrotem. Przytył i odpływ. I świsty pocisków i trzask kulomiotów z kanonii. I czołgi na placu Zamkowym, na gdańskim wybrzeżu i koło Jana Bożego. I nikt nie przykłada już ucha do ziemi rozdartej, nikt już nie słucha w skupieniu, nikt już nie patrzy w ciemności za Wisłą. Noc huczy i płonie.

Rankiem przylecą znów samoloty. Czwórka nurkowców, jak codzien, w odstępach godziny będzie powracać z idealną niemiecką ścisłością. Od siódmej do siódmej, dwanaście razy cztery samoloty po 3 bomby padają w ruiny, wielokrotnie w te same miejsca, przewalają, ryją i obracają ziemię. Dom po domu wali się i płonie. Lotnicy bombardują kamienie według umów i sieją po ulicy pociekami z przeciwpancernych armatek. Fala ludzka odpływa. Sylwety worczone, zgarbione, chwytliwe, co mają, unoszą w wędrówkę nieustającą. Corsi e ricorsi, tam i spowrotem. Tańczy ludzki tłum na ruinach, tańczy płomień po twierdzy-ruinie, tańczy noc-rozpustnica i rozdaje śmierć.

Jak grzechu jej każdy pożąda i wyciąga ręce i bierze.

Tak tak tak tak tak — zachtysuje się kulomiot niemiecki.

— Wychodzić, prędzej, prędzej — ryczy Orfeusz.

— Prędzej, do ciężkiej cholery, muszę opróżnić barykadę. Świst i huk, świst i huk. Czołg dudni na placu. Grają pożary. Znow do góry z siekiere. Nikogo. Odeszli. Samotny też zniknął. Już ponad trzecim piętrzem czerwony, gryzący dym. Piotr nie wdziera się wyżej — tam już nie ma. Ogień wgrzyza się w niższe wiązania i zlizuje z kamienia co da się pochłoniąć. Wysoki jego głoszą balustradę schodów. Płomień żyje, raduje się i coraz niżej schodzi.

— Piotr!

— Idę!

Zbiega.

— Jazda — drze się Orfeusz i wychodzi z automatem przewieszonym przez plecy. Piotr za nim przekracza próg i widzi, jak czarne sylwetki przebiegają placem od barykady w prawo, w głąb. Coraz donośniej drżą ponad kanonią drzewce kulomiotów. Czołg potakuje coraz bliżej swym nieustającym basso continuo.

— Prędzej, prędzej! Orfeusz biegnie w ciemność.

— Idę, idę!...

Ale Piotr staje pod ścianą swego domu i patrzy w górę w okna trzeciego piętra, z których jasne pochodnie kolumnami ognia pną się teraz ku niebu, jak warkocze krwiste i żywe. Cały plac ciek jednoczy się ognistym wniebowstąpieniem. Dawny pożar starej warszawskiej kanonii powtarza się jak na dłoni. Trzeszczą coraz bliżej CKM-y. Kule biegają po bruku jak osy, czy jak grad, jak deszcz ulewny.

Piotr cofa się i znów przekracza próg swego domu. Łuna odbita od przeciwnych kamienic, rzuca blask w głęboką sien, na arkady i kutą lampę, która wisi

nieruchomo, jak zawsze. A ciemna boazeria schodów przeczuwa już purpurowy kolor dymu, który sący się tu powoli. Piotr idzie na górę. Po raz ostatni wchodzi do swego domu, w którym przeżył 5 najpiękniejszych i najtragiczniejszych lat. I gdy wstępuje powoli po stopniach, nie pamięta już tego wszystkiego, co działo się jeszcze przed chwilą. Czuję tylko żal i ból, że to, co tak umiłował, zginęło już bezpowrotnie. I wobec tego tym bardziej. A zresztą.

Nowe czasy przyjdą i nowe starożytności powstaną na starej ziemi, pełnej krwi. Piotr stanął na progu pokoju, który jaśnieje szkarłatem. Siadł w fotelu za biurkiem. Czołgi ryczą jeszcze i trzeszczą jak pierwiej kulomiot. Ale daleko już. Piotr odszedł od nich o całą odległość nowego wymiaru, gdy przekroczył napowrót bramę domu. I pamięta teraz ojca, jak stojąc koło świec spokojnie płonących — symboli bytu — opowiada mu o ogniu, który kiedyś strawi cały świat po wypełnieniu czasu, jak wydał go z siebie w zaraniu stworzenia. Ojciec poważniał wówczas i pełen mocy i wiary mówił, że wszystko kończy się pożarem świata.

— Kto wie, Piotrze — może ty tego doczekasz. Jesteś mi zawsze związany z płomieniem. To dobrze, że kochasz się w ogniu, bo lepiej miłować swe przeznaczenie, aniżeli z nim walczyć.

Płomienie szumiały dokoła, jak spokojny chód budzika. Zaglądały już do pokoju przez okna i polizowały ściany, dym wdierał się od strony schodów, od blasku płonących domów potężniał. Robiło się prawie zupełnie jasno. Sprzęty stały się wyraźne jak w dzień, na stole, gdzie leżała broń, zarysował się zapomniany rewolwer.

Szmerły papiery dokoła cichym życiem, które on im był nadał. Odżyli ci, których uśmiercił darowując im życie: gotowali się radośnie na dawno oczekiwany koniec. I znów postacie powstawały z rękopisów i kart rozwieszonych na ścianach. Żył wszystko. Ogień nadawał ruch i wskrzeszał do jedności. Pocynało się zjednoczenie. Nie było już żywych i umarłych, prawdziwych i pomyślanych, nie było bytów i zjawisk. Płomień drgał i przenikał wszystko jednością. Odeszły odgłosy walki. Piotr wstał od biurka i patrzył jak przez drzwi schodów bluznął ogień i pobiegł po ubraniach, wiszących w przedpokoju, błyskał i buchał dymem, który wdzierał się kłębami i tumanami, otaczał go oparami duszącego kadzidła i dławiał. Trzask płomienia po oknie, firanka błysnęła i spłonęła. Żar wzrastał. Karty na ścianie poczęły się związać. Płomień skoczył na półki i sięgnął książek. Piotr usiadł znów i myślał o ojcu. Przez chwilę jakaś natrętna, instynktowna asocjacja powróciło wyobrażenie rumuńskiej granicy, mostu w Kutach i decyzji pozostania. Ale przecież — uciekać nie wolno — od dajmoniona.

Płonęły cicho ryciny na ścianach. Za chwilę spłoną manuskrypty. Przesłanie istnieć Elżbieta, Aleksy i Teresa. Nikt ich nie zna. Istnienie ich związane znakiem i świadomością ludzi, nie znajdzie już żadnego oparcia. Gdzie snuć się będą ich nieukozone duchy, powołane do bytu fantazją? Czy jest dziedzina między niebem i ziemią, gdzie bytują tywory pomysłane? Kogo będą nawiedzać nocami nieutulone w rozpacz i walce z życiem. Czy wrócą do nicości i tak, jak by nie były? Żadnego śladu. I nikt, nigdy o nich się nie dowie. Wszystko wraca do ognia twórczego.

Okno od strony Kanonii stało w płomieniu. Żar od tej strony tak wzrastał, że struny fortepianu zaczęły pękać. Jękliwą pustą muzyką pożaru. Niekiedy pękało kilka naraz wśród dysonansowych akordów, w harmonii pełnej twórcy i rozpacz. Gdy dym przesłaniał oczą i dusić, a gorąco zbyt wzrastało, Piotr wstał i podszedł do stołu, gdzie leżał wciąż zapomniany przez Orfeusza rewolwer. Spojrzenie jego padło na płonące tomy. Wspomnienie zabrzmiało półświadomą prośbą:

Dolcissima Marte, vieni a me e non m'essere villana.

Ale Piotr wiedział, że jeszcze chwila, a gorąco ustanie, diamentowe rzeki gwiazd popłyną przez aksamitną krainę nocy, źródła ducha-pamięci otworzą się ponad czasem dla tych, którzy nie ustami, tylko wypowiedzą orfickie zaklęcie:

W Świecie...

FRANCJA PRZED NOWYM GŁOSOWANIEM.

PRACE nowej Konstytuanty francuskiej nad projektem nowej konstytucji dobiegają końca. Należy się spodziewać, że w drugiej połowie września zostanie nowy projekt oddany pod referendum narodu francuskiego.

Jak można się tego było spodziewać, po faktycznej porażce, jaką poniósł blok komunistyczno - socjalistyczny w poprzednich wyborach — nastąpiło obecne wyrażone ochłodzenie stosunków i rozluźnienie współpracy pomiędzy stronnictwami lewicy. Komuniści zarzucali socjalistom, że nie zdecydowali się na scentralizowanie i ujednoczenie kampanii przedwyborczej, oraz że propaganda socjalistyczna była niezdecydowana, nie brała pełnej odpowiedzialności za wysuwany wówczas projekt. Nawzajem socjaliści wypominali komunistom, iż przyczyną niepowodzenia były zbyt skrajne tendencje komunistyczne i że wynikiem współpracy, była utrata przez socjalistów części posiadanych wpływów.

W chwili obecnej rysuje się wyraźnie nowy układ polityczny, w którym komuniści znajdują się w opozycji w stosunku do projektu konstytucyjnego, przeprowadzanego większością przede wszystkim socjalistów i M.R.P.

Projekt obejmuje stworzenie dwuizbowego parlamentu, z ograniczonymi uprawnieniami senatu, przewiduje uprawnienia prezydenta, wybieranego przez parlament, do rozwiązywania izb, mianowania premiera, którego zatwierdza jednak w funkcjach dopiero uchwała sejmowa. Pozycja prezydenta w nowym projekcie przypomina uprawnienia prezydenta w konstytucji amerykańskiej.

Na jesieni naród francuski wypowie swój sąd o nowym projekcie.

PERSJA ZNOWU NA WIDOWNI.

PRZEZ pewien czas było cicho o Persji. Wydawało się, że kompromis osiągnięty między rządem perskim i sowieckim spowoduje wygaśnięcie ognisk w tak łatwo zapalnym punkcie świata. Niespodziewanie jednak ogień rozpoczął się odnowa od drugiej strony. Angielskie krążowniki zawitały nieproszone do portu Basra, wyładowując na ląd oddziały wojska. Powodem tej wizyty był strajk 50.000 robotników perskich, pracujących na terenach Anglo-Iranian Oil Company.

Odłąk w marcu b. r. wojska brytyjskie i amerykańskie wycofały się z Persji — opiekę nad polami naftowymi angielskimi przejął rząd perski, powierzając oddziałom wojskowym pod dowództwem Mispah Fatemiego straż nad tym cennym obiektem.

Zdaniem Anglików siły, będące do dyspozycji Mispah Fatemiego były zbyt małe, by mógł on panować nad powierzchniami sobie obszarami, tymbardziej, że na nich właśnie rozwinęła ostatnio ożywioną działalność skrajnie lewicowa partia Tudeh. Wynikiem jej agitacji miały być niepokoje, a przede wszystkim starcia z ludnością arabską na terenach Anglo-Iranian Oil Company. Ostatnio wprowadzone przez rząd Quawam-es-Sultaneh ustawodawstwo społeczne, ograniczające prawo strajku — spowodowało wybuch poważnych już niepokojów w strefie angielskich interesów. W wyniku tych wypadków ukazała się w porcie Basra, odległym o 50 km. od pól naftowych, flota brytyjska.

Czynnikami rządowe perskie przyjęły tę interwencję spokojnie, prasa lewicowa perska, wspomóżana przez lewicową prasę hinduską — wystąpiła z ostrym protestem przeciw naruszeniu przez Wielką Brytanię suwerenności perskiej. Nie jest rzeczą wykluczoną, że sprawa perska ukaże się znów na porządku dziennym obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Synem jestem ziemi i gwiazdzistego nieba

atoli ród mój niebiański.

Wtedy w ciszy rozstąpił się sufit i wybuchnęła w przestrzeni mgławica iskier. Pękały i rozszypywały się grube płonące belki, a z dna pożaru uniosły się ku niebu wysokie, czyste płomienie i ponad osmalonymi, krwawymi murami sięgnęły niebiosów.

Jan Białoostocki

Tydzień kulturalny

PIĄTE WYDANIE
„DYWIZJONU 303“

CZYTELNIK“ wydał „Dywizjon 303“ Fiedlera. Jest to piąte (a nie czwarte) wydanie tej książki w kraju. Pierwsze było fotokopią londyńskiego wydania Kolina. Drugie wydał „Miecz i Pług“, trzecie — „Żałoga“, czwarte — najstarsze, opatrzone 6 drzeworytami, wydane zostało jesienią 1943 roku przez „Oficynę Polską“, instytucję zależną od organizacji „Polska Niepodległa“. „Dywizjon 303“ obok dwóch wydań „Kamieni na szaniec“ i dwóch wydań antologii poetyckiej „Słowo prawdziwe“, było najważniejszą pozycją literacką Polski podziemnej.

Z OGROMNYM OPÓZNIENIEM

POWIEŚĆ Jana Dobraczyńskiego, ośnuta na tle Powstania Warszawskiego pod tytułem „W rozwalonym domu“, drukowana przez „Czytelnik“ przez 11 miesięcy, pojawiła się wreszcie w handlu.

W DRUGĄ ROCZNICĘ POWSTANIA

PRASA uczciła rocznicę Powstania numerami specjalnymi. Dobry jest numer „Robotnika“, staranny dodatek „Życia Warszawy“, bardzo dobry, staranny i ciekawy numer „Gazety Ludowej“. Kiedy się jednak czyta opisy Powstania, dziś, po dwóch latach zaledwie, sposzrzega się ze zdumieniem, jak strasznie są one nieprawdziwe. Przesada kwitnie — że już nie powiemy błaga. Każdy, kto był w kanale szedł „po szyję“, a przynajmniej „po pas w wodzie“. Każda — uwieczniona wspomnieniami ex-uczestników jednostka — zniszczyła co najmniej pięć czołgów. Na Starówce strzelało się z „pepesz“! A w ogóle wszyscy byli na Starówce (aby nie było nieporozumień przypomina, że liczba zaprowiantowanych — walczących na Starówce, nie przekraczała nigdy 9.000 ludzi), wszyscy chodzili przez kanał, a jednocześnie wszyscy „przebijali się“ ze Starówki „góra“. (Dla wyjaśnienia „góra“, t. zn. przez Ogród Saski, przeszła nocą z 30 na 31 sierpnia jedna kompania baonu „Wigry“). Każda jednostka AK utrzymywała kontakt z jednostką AL i odwrotnie każda jednostka AL utrzymywała kontakt z jednostką AK. Można by ułożyć schemat opowiadania powstańczego: „siedzieliśmy na pozycji na rogu, piliśmy wino i paliliśmy papierosy. Z prawa przyszedł łącznik od kompanii PAL a z lewa łącznik od kompanii AL. Czytaliśmy na zmianę „Gwardię“ i „Biuletyn“... A w „Głosie Ludu“ ukazała się fotografia gen. Bora i „jego brata“, rozmawiających z jakimś Niemcem. Rzeczywiście gen. Bor i jego brat są do siebie b. podobni. Ale nie na tym koniec. Bo „ów brat“ to kpt. „Sas“, tłumacz kwatery głównej, znany adwokat warszawski.

W „Tygodniku Warszawskim“, morze ogłoszeń, uważny czytelnik wyłowić może ciekawy fragment pamiętnika z czasów powstania K. Irzykowskiego i naprawdę wyjątkowy ładny artykuł Stanisława Ziembickiego. Wartości artykułu nie ujmuje nic, że autor śledził w czasie Powstania na niebie pikujące „Dornieri“, zamiast śledzić „funkersy“... (Prosimy autora o wybaczenie nam tej uwagi. Wiemy przecież, gdzie był i co robił w czasie Powstania).

Powstanie zostało także uwiecznione w poezji podwórzowej. Słyszeliśmy niedawno niezmiernie interesującą piosenkę z refrenem:

O Boże, jaka straszna godzina
Walczycie nie ma czasu
Pod czołg idzie z butelką dziewczyna
By zapłacić j e m...

COŚ O „TYGODNIU“

TYDZIEŃ“ jest coraz lepszy. Ostatnio spotkaliśmy się tam z naprawdę ciekawym artykułem Adama Rapackiego p. t. „Demokracja — ale jaka“. Rapacki — syn Mariana — jest dziś jednym z najlepszych piór w publicystyce społeczno-gospodarczej.

Marginesy spraw zagranicznych

11 czy 14?

Pierwszy tydzień Konferencji Paryskiej minął wśród gwałtownych sporów regulaminowo - proceduralnych. Prasa warszawska przyjęła ten stan rzeczy z dużym niezadowoleniem, wykazując wzrastające z dnia na dzień zniecierpliwienie i rzecz natury czysto formalnej, odracza najistotniejszą część Konferencji. Nie podzielaliśmy tego zniecierpliwienia, pod którym kryło się lekceważenie dla zagadnień proceduralnych, jakby one były sporem o nieważne formy postępowania. Rozgrywka jednak kryła w sobie najważniejszą treść, gdyż decydowała o duchu i skutkach konferencji pokojowej.

Chodziło o sławną już dziś w świecie zasadę 2/3 głosów, jako obowiązującej większości przy uchwałach w sprawie traktatów z b. satelitami Niemiec. Zasada ta została przyjęta przez Ministrów Spraw Zagranicznych czterech mocarstw w czasie ich narad paryskich, poprzedzających konferencję pokojową. Zasada ta została jednak niesłuchanie ostro zaatakowana przez przedstawiciela Australii, dr. Evatta. Wy stał on, uznając się za rzecznika państw mniejszych, przeciw proponowanej zasadzie, uważając, że większość ustawowa jest formą skrepowania wolnej decyzji mniejszych narodów, przez narzucenie decyzji powziętych z góry przez Wielką Czwórkę.

Stanowisko Evatta spotkało się z oporem Mołotowa i ze sprzeciwem szeregu państw, popierających stanowisko rosyjskie: Polski, Czechosłowacji, Jugosławii oraz republik Związku Sowieckiego U. krainy i Białorusi. Wobec nieustępliwości obu stron, oraz wobec cichej przychylności Byrnese, Attlee i Bidault, sprawa zaogniła się do tego stopnia, że we wtorek 6 sierpnia Mołotow zaczął obstawać przy większości 2/3 nawet i przy decyzjach o charakterze proceduralnym, a przedstawiciel Jugosławii oświadczył, że jego rząd nie będzie się czuł związany uchwałami, za którymi nie będzie stała ustawowa większość głosów. Z drugiej strony w gwałtownej polemice Byrnese zarzucił Mołotowowi, iż odstępuje od uprzednio przyjętych uchwał, dotychczas do tego zarzut, iż Związek Sowiecki tak ogranicza wolność prasy, że niedopuszcza do przedstawienia w niej stanowiska obu spierających się stron. Dopiero ósmego dnia obrad, po burzliwych debatach, w których nie brakło nawet takich argumentów, jak bicie pięścią w stół, w atmosferze rosnącego zdenerwo-

Kazimierz Koźniewski

wania, doszło do wysunięcia kompromisowego projektu angielskiego, przewidującego rozróżnienie dwóch gatunków wniosków, przedstawianych przez konferencję Wielkiej Czwórki. Jedne, uchwalone zwykłą większością będą miały nieważący, opiniotwórczy charakter, drugie, uchwalone większością ustawową, będą miały charakter zaleceń do aprobaty znacznie bardziej wiążących. I to nie mamy danych, czy kompromis ten przetrzyma praktyczną próbę.

O cóż właściwie chodziło? Większość zwykła to głosy 11 państw, większość kwalifikowana, to 14 państw. Czy chodziło o owe trzy głosy? Niewątpliwie nie, istota sprawy tkwi znacznie głębiej.

W wyniku stoczony wojny, wytworzył się wyraźny podział polityczny świata na wielkie i małe mocarstwa. Wielkie obejmują w zasadzie Amerykę, Anglię i Rosję, oraz z pewnymi już zastrzeżeniami, jeszcze Francję i Chiny. Do mocarstw wielkich zaliczono te, których interesy mają charakter ogólnosiwiatowy, te, które z racji swej siły i swych rozmiarów, decydują o światowym pokoju i wojnie. Jest rzeczą więc zrozumiałą, że zobowiązując się do poszanowania wolności interesów narodów mniejszych — mocarstwa te muszą między sobą rozstrzygać sprawy najbardziej zasadnicze, na zasadzie jednomyślności. Ten stan rzeczy, biorąc pod uwagę ogólnosiwiatową sytuację, jest całkowicie zrozumiałym i słusznym, pod jednym jednak warunkiem, by mocarstwa wielkie liczyły się z interesami poszczególnych mniejszych a niezależnych państw. Od chwili jednak, gdy w statucie Narodów Zjednoczonych znalazła się, naszym zdaniem, niefortunna i szkodliwa klauzula, dająca wielkim mocarstwom prawo weta, powstało na świecie wrażenie, iż równoległe ze zwycięstwem demokracji, stosunki międzynarodowe stały się jej zaprzeczeniem, dyktatorem wielkich mocarstw nad resztą świata.

Zdawną sygnalizowany atak mniejszych państw na uprzywilejowane stanowisko wielkich mocarstw, zaczął właśnie w Paryżu mł. Ewatt. Widząc w żądaniach Wielkiej Czwórki chęć stworzenia stanu rzeczy, w którym nie ma praktycznych możliwości przeforsowania innych wniosków niż te, których sobie życzą mocarstwa, obstawał tak zdecydowanie przy zwykłej większości głosów.

Naszym zdaniem sprawa wypadła jak najniezłaskawiej. Słuszna zasada poszanowania interesów i poglądów mniej-

szych państw, stała się tłem do rozgrywek między wielkimi mocarstwami, pragnącymi sobie zabezpieczyć jednostronną przewagę. Nie ulega wątpliwości, iż Stany Zjednoczone i Anglia, licząc na szereg swych satelitów, były skłonne do popierania wniosku Evatta, licząc na możliwość przeforsowania tym sposobem swoich decyzji. Zrozumiałym jest skąd inną opór Mołotowa, który nie mógł się zgodzić, by mogły zapadać decyzje, których stanowisko Rosji nie byłoby brane pod uwagę.

Zasadniczo i trzeba to z należyтым naciskiem podkreślić, w decydowaniu w tak drażliwych sprawach, jak powojenny układ stosunków politycznych i sprawa terytoriów poszczególnych państw, musi być osiągnięta całkowita jednomyślność, nawet jeśli ona była tylko kompromisem. Musi tak być, czy się komu podoba czy też nie, tak długo, dopóki ONZ nie będzie dysponowało dostatecznym autorytetem i siłą, zdolną do zagwarantowania posłuszeństwa odpornej mniejszości wobec uchwał większości. Jak długo tego nie ma, każde państwo może w pewnej chwili odmówić podporządkowania się uchwałom. Stąd dążenie do jednomyślności, stąd też zasada, iż stosunek 14:7 jest lepszy, niż 11:14.

Istota zagadnienia, jak widać, leży znacznie głębiej, niż między dwoma cyframi — 11 a 14. Leży w atmosferze nieufności istniejącej nie tylko między mocarstwami, lecz również i między wielkimi i małymi państwami. Niestety, trzeba przyznać, iż przeszłość czyni te nieufności zupełnie zrozumiałe. W nowym okresie jednak wielkie mocarstwa przede wszystkim będą musiały dać dowód, jeśli świat nie ma znów dzielić się na zwalczające się fronty, że rezygnują z realizacji swych egoistycznych interesów na korzyść międzynarodowej współpracy. Dziś jednak jest ona tylko frazesem, hasłem na przyszłość, które zrealizować ma ONZ.

Chodzi więc dziś przede wszystkim o odbudowanie zaufania przez znieszenie pozorów, które wskazują na to, że mocarstwa narzucają swą wolę innym, że mogą niedopuszczyć do wglądu ONZ w stosunki, panujące między wielkimi a małymi narodami.

Na tym polu Konferencja Pokojowa łączy swe zadania z pracami ONZ.

K. Kk.

NIEMORALNY JANOSIK

Z wielkim tatrzańskim zbójnikiem Janosikiem łączy nas wezły serdecznej przyjaźni. Legendę góralską, która z gór zesłała w nizinę, między „cepy“ — podjął genialny poeta, postaci Janosika wystawiając pomnik z najtrwalszego spiżu — z Poezji. Przez Tetmajera poznaliśmy Janosika. Ludowa legenda i kunszt poety — tak ubrały, tatrzańskiego zbójnika, iż opady z niego szaty zakrawały na rabusia, a pozostała piękna sukienka błędnego rycerza. Ta transformacja mająca zresztą swe historyczne i zagra-niczne paralele, była tym łatwiejsza, iż góralski Janosik walczył przeciw z austriackimi urzędnikami i żandarmami, a więc funkcjonariuszami państwa zaborczego.

Jaku Kurek w powieści swej sprowadził legendę do wymiarów życia współczesnego, pokazał nam codzienne perypetie i przygody bandyty, celowo przez autora stylizowanego na Wielkiego Zbójnika. I raptem okazało się, iż przez taką operację Wielki Janosik stracił znacznie w naszych oczach. Z romantycznego rozbójnika — pozostał zwyczajny bandyta. I jeżeli proces janosikowej deprecjacji legendy nie został uwieczniony ostatecznym rezultatem — to tylko dlatego, iż legendę tę stworzyła i ciągle jeszcze tworzy wielka sztuka poetycka Tetmajera, a jej swoistą transkrypcję daje jedynie sztuka Kurka.

„Janosik“ to dzieje wsiowego bękarta z Naprawy, który stając jako dziesiętnastoletni chłopiec w obronie krzywdzonego przez policję chłopca, zadziera z miejscowym posterunkowym, a nie widząc dla siebie innej drogi wyjścia — zostaje leśnym bandytą. Janek Dziura — tak nazywa się bohater powieści Kurka — organizuje sobie bandę, pierw jedną, potem drugą i raz dwa staje się postrachem Podhala. Oczywiście postrachem tylko dla policji, administracji państwowej,

przemysłowców, kupców, zamożnych leśników, których rabuje i podpala, zdobyte w ten sposób pieniądze rozdaje wiejskiej biedocie i finansuje nimi miejscowe „Stronnictwo Ludowe. Pod koniec drugiego tomu dostaje się do więzienia, z którego nie może uciec. Zostaje skazany na śmierć, ułaskawiony przez Prezydenta RP. i dożywno zamknięty w świętokrzyskim więzieniu, gdzie cytelnicy, sądząc z nieudomówień autora winni domyślać się śmierci Jaska — co do czego jednak wcale nie mamy pewności.

Wielka, 1200 stronicowa powieść wypełniona jest właściwie tylko opisami grabieży, napaadów, bójek, podpałów, obłą i t.p. przygód bandycko-leśnych. Każdy z tych opisów, wzięty oddzielnie, jest niewątpliwie bardzo dobry, niektóre są wręcz doskonałe — nagromadzenie ich jednak w tak wielkiej ilości, nie tylko że nuży już w drugim tomie czytelnika, ale artystycznemu smakowi oraz konstrukcyjnym umiejętnościom autora jak najgorsze wystawia świadectwo. O ile pierwszy tom powieści jeszcze można czytać z zainteresowaniem, nawet z napięciem — o tyle drugi, który do znużenia powtarza te same schematy treściowe i artystyczne, zmusza w końcu do przejścia z uważnej lektury na kartkowanie.

Kurek nazywa swe dzieło epopeją. Epopei jednak nie tworzy się li tylko przez paciorkowe nagromadzenie dużej ilości opisów wydarzeń jednakowych i jednostronnie ukazujących życie górali podhalańskich i tatrzańskich. Jest rzeczą charakterystyczną, iż w tego rodzaju powieści, która mogła by stać się łatwo eposem ludu góralskiego, ukazującym życie tego narodu, w całej jego różnorodności — Kurek pokazuje górali tylko od strony ich zetknięć z głównymi bohaterem, ew. jego prześladowcami — policjantami. Wobec tego tło, na którym

działa Janek Dziura, jest płaskie i bezkrwiste. Konflikty społeczne, troski i problemy gospodarcze, sprawy polityczne (trudno nazwać „sprawami politycznymi“ naiwne konszaty t. zw. „ludowców z Janosikiem“) — wszystko to jest w powieści przemilczane. Nawet, tak istotne dla wsi problemy rodzinno-majątkowe i pasje erotyczne nie wychodzą poza miłośki i miłości Janosika. To jest bardzo ważny mankament, który sprawia, iż trudno powtórzyć za niektórymi recenzentami nazwę „eposu“ w odniesieniu do tych dwóch książek. Niczym nieusprawiedliwiona gadatliwość, też nie przydaje powieści artystycznych walorów.

Pozytywną pozycją dzieła Kurka jest niewątpliwie jego język literacki. Dojrzał on w czasie wojennego milczenia. Znikły niepotrzebne wulgaryzmy, tak rażące swego czasu w ostawionej „Grypszaleje w Naprawie“. Miejsce ekshibcyjnego trywializmu erotycznego zajęły w scenach miłosnych umiar, dyskrecja i prawdziwa poezja. W „Stawie Głuchaczkom“ opisy przyrody należy uznać za poezję najwyższej klasy. W „Śpiewie świętej gowry“ taką wysoką pochwałą na leży odnieść do opisu miłości Ewy do Janosika. Jest to najczystsza partia drugiego tomu. Niestety inne motywy przewodnie drugiej części nie wytrzymują krytyki. Perypetie duszne Janosika, do-wiadujące się prawdy o swym ojcu — są zupełnie nieprzekonywujące. Po prostu nie wierzymy, na podstawie materiału zrelacjonowanego nam przez autora, by w tym zbójniku miało się tak nagle narodzić gorące uczucie do tego nieszanowanego ojca. Tak samo nieprawdopodobnie wypada nagła metamorfoza z bandyty, obywatelnego dla spraw politycznych (jak to jasno stwierdza sam bohater w tomie pierwszym) w namiętnego działacza ludowego, apostoła uciśnionej sprawy, kandydata na wodza ludu, jakiegoś dru-

giego Witosa (jak sugeruje to zupełnie wyraźnie autor).

Książka Kurka mogłaby się stać bardzo interesującą lekturą, gdyby skróciła ją conajmniej o połowę. Niestety, z Jalu Kurkiem żaden wydawca nie odważy się postąpić tak, jak zrobił to ongi Wankowicz z rękopisem Sergiusza Piaseckiego. Oślawiony „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” ukazał się w formie dwakroć krótszej, niż stworzył go autor i wiezień świętokrzyski w jednej osobie.

O ile strona artystyczna „Janosika” nasuwa poważne zastrzeżenia, o tyle aspekt ideowy utworu woła — by użyć tego samego patetycznego tonu, jakiego Kurek lubi używać w stosunku do swego umiłowanego bohatera — o pomstę do nieba!

Powieść Jalu Kurka nie jest bowiem niczym innym, jak apoteozowaniem bandytyzmu. W tomie pierwszym Kurek całym szeregiem przejrzystych aluzji, całą atmosferą, rozpościeraną wokół akcji Dziury, wreszcie wyraźnymi propozycjami działacza ludowego Wojnara — stara się przekonać czytelnika, iż Jan Dziura ze zwykłego bandyty stanie się, ba! już jest niemalże, jakimś wielkim mścicielem krzywd społecznych, jakimś sui generis rewolucjonistą. Co w pierwszym tomie jest tylko aluzją, w drugim postawione jest wyraźnie. Jasiak-Janosik staje się rzeczywiste postacią niemalże legendarną dla górali. Staje się to za sprawą autora, który obdarza swego nowoczesnego bohatera cudownym koniem (w tomie pierwszym), niezwykłą siłą fizyczną, jakimś magicznym magiczną odpornością na kule, które go się nie imają, wreszcie nadzwyczajną mądrością (w tomie drugim), w którą jednak musimy wierzyć tylko na słowo honoru autora i współkolegów Jaska. Ta legendarna postać bandyty w pewnej chwili przechodzi do konkretnej akcji politycznej, utrzymanej zresztą wg. wszelkich reguł tego rodzaju sztuki w schematach „Wesela”... no i po trochu Mussoliniego. Organizuje mianowicie marsz chłopów na Kraków. Gdy padnie hasło „zieloną się buki!” ludność góralska, pod wodzą bandyty oraz przywódców t. zw. przez Kurka Stronictwa Ludowego, ma iść na Kraków, gdzie ma się pokłonić trumnie Piłsudskiego i dalej może pociągnąć na Zamek Warszawski z petycjami chłopów do prezydenckiego stolca. Nieważna jest zresztą zupełnie ta mętna koncepcja polityczna, wykonanie lub kompromitacja, której uniemożliwia aresztowanie Dziury. Ważne jest natomiast to, iż dla Jalu Kurka i dla jego „działaczy ludowych” działalność bandycka Dziury nie stanowi żadnej przeszkody dla jego działalności politycznej. Wprost przeciwnie — mir, uzyskany zbrojnikowaniem, znakomicie opłaci się w akcji politycznej. Jest jej fundamentem. Sprawa ta jest tym charakterystyczniejsza, że Kurek nie zatrzymuje się wcale na gloryfikowaniu określonego bandyty — niejakiego Jan Dziury, zwanego Janosikiem, ale (co szczególnie drastycznie wypukła się w tomie drugim) gloryfikuje wręcz bandytyzm, jako taki.

Kurek nie waha się pisać o tym wierszowym bandycie: „To chłopski Mesjasz... który był przeznaczony do zbawienia ludu” (t. II, str. 131); przyrównywać do Witosa (t. II, str. 131) czy Putka (t. II, str. 400), obdarowywać go sławą niemal świętego (str. 536). Bandyta i podpalacz staje się synonimem wolności i sprawiedliwości. Gdy go aresztują, Kurek woła w ekstazie: „Ginie swoboda”.

Kurek w ogóle odznacza się dziwną atrycją moralną. Po prostu nie dostrzega niemoralności pewnych sytuacji, pewnych osobników. Gdy jeden z rozbójników zadany został w karczemnej bójce, Jalu Kurek pisze: „Burza ludzkiej zemsty, złości i mordy przeszła nad nim, nad jego zdrową (!), wesołą naturą”, a w innym miejscu Janosik, myśląc o swych poległych towarzyszach, stwierdza smętnie: „Uczciwi giną jeden za drugim...”. A wreszcie na samym końcu, gdy nowoczesny Janosik powoli zamiera za kratami Świętego Krzyża, Kurek, ublewając nad przesołnością, stwierdza żalobnie: „Minęły czasy mitologii zbrojniczej i minęła sława harnasi. Pozostali tylko bandyci...”. Z tym zgadzamy się, ale już następne zdanie jest utrzymane w stylu całej książki: „Ale i im zrobiono koniec...”. Czyżby autor żałował nie tylko zbrojników Janosików, ale i bandytów Janosików. I oto książka rozpoczyna (artystycznie zresztą fatalnie) apostrofa do rodzonej matki autora, kończy się apoteozą zbrojstwa:

„Zbójcu za kratami,
zmiłuj się nad nami!”

„Ach giniesz, cudowny kraju! Kiedy wstaniesz, zbudzony pieśnią swoich bohaterów, odmłodzony, w blasku prawdziwej wolności?”

I w tym leży wielkie niebezpieczeństwo społeczne tej książki.

Zresztą Jalu Kurek może sobie nawet nawet nie zdaje sprawy z niebezpieczeństwa, jakie wynika z zalecania bandytyzmu jako metody akcji politycznej... Jeżeli Dziura uwolniona z celi świętokrzyskiej ostatnie wycofujące się przed Niemcami oddziały polskie we wrześniu 1939 roku — niewątpliwie stanie się wybitnym uczestnikiem lepszych partyzantek. Wydaje się jednak, iż po zakończeniu

wojny nie wyjdzie on z lasu i nie podejmie uczciwej pracy. Wbrew namowom Wojnara odpycha od siebie myśl o powrocie do uczciwego życia nawet w małych więziennych nie zdradza pod tym względem własnej natury. A wojna przez cień nikogo na drogę cnoty nie nawróciła. Raczej przeciwnie. Partyzantka i konspiracja mogą być szkołami patriotyzmu, ale napewno nie są szkołami uczciwości. Dlatego, gdy próbujemy wyobrazić sobie Dziurę w aktualnej sytuacji, to nie widzimy go ani w PSL-u, ani w SL-u, ale w lesie, w takiej samej walce z dzisiejszą milicją, jak ongi z granatową policją. Żaden działacz polityczny, świadomy swej społecznej odpowiedzialności nie będzie zalecał bandytyzmu, jako metody politycznej walki, nawet z ustrojem najbardziej nienawistnym. Wie on, iż raz rozpięte zły instynkty, z wielkim trudem wracają do łożyska uczciwości.

Kto sanację zwalczał rozbojem — w demokracji rozbojem będzie zarabiał.

Motywy gloryfikowania i uszlachetniania przestępstwa nie po raz pierwszy występuje u Kurka. W jego przedwojennej powieści „Młodości śpiewaj” młodego akademika Kazka, nędza doprowadza do zajęcia się przemyślnictwem. Niewątpliwie trafna analiza stosunków i trudności przedwojennej młodzieży Kurek kończy zgola niespodziewanie. Kazek, ranny śmiertelnie w trakcie przenoszenia towaru przez granicę polsko-niemiecką — z patosem (czerwona krew miesza się z białym śniegiem!) wygłasza swe ostatnie słowo, które brzmi: „dla Ciebie, Polsko!”. Gdy ustęp ten przypominamy sobie po sześciu latach takiej walki o rzeczywistość Polskę — dziwnym się wydaje, jak można było wtedy coś takiego napisać! Co mieli wobec tego wołać żołnierze Polski Podziemnej, rozstrzelani

przez Niemców? Conajmniej niedelikatnością jest wkładać w usta zastrzelonego przemyślnika ostatnie słowa Traugutta, Okrzeji czy Mireckiego.

Podobną niedelikatnością jest, gdy Kurek pasuje bandytę na bojownika sprawiedliwości społecznej i politycznej. Oczywiście, wolno pisarzowi zachwycać się zbrojcem. Wolno podejmować mu próbę odtworzenia duszy takiego degenerata. Wolno go nawet pisarzowi apoteozować. Wtedy jednak naszym obowiązkiem jest przed taką książką przestrzec społeczeństwo. Szczególnie dziś, gdy najgorszą plagą Polski odrodzonej jest właśnie bandytyzm.

Kazimierz Koźniewski

Jalu Kurek „Janosik”, tom I „Sława Głuchaczkom”, str. 523, Kraków 1945, tom II „Śpiew świętej głowy”, str. 685, Kraków 1945, wydawnictwo Stefana Kamińskiego.

Wśród książek

Dr. Gerard Labuda: Źródła niemocy polskiej na kresach zachodnich. Poznań, 1946, „Księgarnia Akademicka”, str. 15.

Bardzo dobrze zapowiadający się młody historyk poznański ujął niezwykle ciekawe szlaki piastowskie nad Odrę, gdy nastąpiło przesunięcie całego naszego organizmu państwowego na zachód, mniema się, że nasze klęski historyczne na Zachodzie spowodowane zostały zbytym wpłynięciem się w politykę wschodnią: turecką, ukraińsko-kozacką i rosyjską, którą ryczałtowo określa się dziś, jako politykę jagiellońskiego ciężarza na Wschód. Pojęcie to jest błędne i wynika z generalizowania faktów, które zarówno w epoce Piastów, jak i w epokach jagiellońskiej i pojagiellońskiej wyłamują się z tego kręgu. Słusznie mówi autor, że dwaj klasycy przedstawieli polityki piastowskiej: Bolesław Chrobry i Kazimierz Wielki mogą z powodzeniem uchodzić za inicjatorów polityki „ruskiej”, a natomiast u Jagiellonów i ich obieralnych następców nie brak dażeń do umocnienia pozycji Polski nad morzem oraz do częściowego przynajmniej odzyskania Kresów Zachodnich.

Stwierdza dalej autor, że w ostatnich czasach słyszy się dość powszechnie zdanie, że ekspansja nasza na Wschodzie pokonywała się z polityką osobistą kilkunastu wielkich magnatów, którzy, broniąc swych posiadłości na Wschodzie, celowo stawiali przez parę wieków naszą politykę w tym kierunku. Jakkolwiek spórstrzeżeniu temu nie można odmówić pewnej dozy słuszności, tym niemniej należy zauważyć, że nasza polityka wschodnia swą genezę sięga konsekwencjami okresu dawniejszego, a mianowicie sojuszu polsko-litewskiego, zawartego w pierwszym rządzie przeciwko Krzyżakom. Dalszym ciekawym, wprawdzie nie nowym spostrzeżeniem autora jest fakt, że nasza ekspansja wschodnia nie była w istocie tylko polityką magnatów, widzącą w utrzymaniu posiadłości na Wschodzie jedynie własne interesy, lecz ekspansję wschodnią zawdzięczamy chłopu mazurskiemu, który poczynił od XIII wieku kolonizację wytrwale Prusy, Podlasie i Wileńszczyznę oraz Lubelskie.

Do najciekawszych jednak wniosków dochodzi autor, wykazując błędy i niedokrwistość pogranicza wielkopolskiego na przestrzeni dziejów, co tłumaczy w pierwszym rządzie nasze niepowodzenia na granicy zachodniej i przesuwanie się naszego organizmu państwowego na Wschód.

O ile bowiem chłop mazurski i pomorski wykazali niezwykłą tężyźnię na przestrzeni dziejów w kolonizowaniu puszczy południowych Prus (Mazurzy) oraz Pomorza Elbląskiego, ziemi Malborskiej i Chełmińskiej, jak i Warmii (Pomorzanie), o tyle chłop wielkopolski nie stał by na zaludnienie wymarłych wsi i przysiółków na pograniczach wielkopolskich. Już w XII i XIII wieku, w okresie naporu kolonizacji niemieckiej na nasze ziemie zachodnie „cały system (obrony pogranicza), oparty głównie o naturalną ochronę puszczy i wód, był zawadny i cierpiął na brak oparcia w ludziach”. Nie lepiej było i później. Stan częściowo poprawił się w XV w., jak wykazują badania prof. Tymienieckiego. Natomiast w XVI w. znówu zachodzą te same objawy. Autor przytacza ciekawą wzmiankę, zaczerpniętą od prof. Konopezyńskiego, że Francuz Paladier, który w r. 1784 chodził po Poznaniu, przez cztery dni nie słyszał polskiego języka. Natomiast wiek XIX przyniósł kolosalne pod tym względem zmiany. Żywił polski zarówno w Wielkopolsce, jak i na Pomorzu oraz na Śląsku wraz z naciskiem śrubby germanizacyjnej okrzepł, zorientował się, że jako etniczna odrębność jest skazany na zagładę i przystąpił do walki o prawo do życia narodowego oraz o wywalczenie sobie niezależności gospodarczej.

Motywy „niedokrwistości” naszego pogranicza zachodniego nie tylko dadzą badania rozrodności i tablice śmiertelności w Wielkopolsce w ubiegłych wiekach, jak chce autor. Mimo braku sprawozdań statystycznych ludności pogranicza na przestrzeni dziejów, poza już dziś przestarzałą pracą A. Pawińskiego, niedokrwistości pogranicza nie wyjaśnią tylko badania

statystyczne i zdrowotne. Istota tego zagadnienia w wielu wypadkach tkwi głębiej. Jest nią gospodarka materiałem ludzkim, roboczym w Wielkopolsce. Badania społeczne i prawno-ekonomiczne mają tu przede wszystkim głos. Wytrwałą kolonizację mazurskiej nie można poływać do chłopu wielkopolskiego. Ta pierwsza wynikała z nieplanowej gospodarki ludzkim materiałem i dzięki niej niejednokrotnie polityki. Terenem kolonizacji mazurskiej były otwarte przestrzenie puszczy i nieużytków na Wschodzie, na których w wielu wypadkach osiadli element, chcący się wyzwolić od obowiązku pańszczyzny. Natomiast chłop wielkopolski tych możliwości nie miał. Uciec mu było bardzo trudno i na Zachodzie wraz z postępowaniem ekonomicznym miejsca dla siebie nie znajdował. Ziemie zachodnie były ławą opanowywaną przez żywioł niemiecki, który jako lepiej gospodarujący przez wprowadzanie nowych metod uprawy i ogólnego postępu cywilizacyjnego, był lepiej widziany od chłopu wielkopolskiego u obszarników, gdyż sowsitnie płacił czynsze. Chłop wielkopolski musiał podjąć walkę ekonomiczną z chłopem niemieckim i wycofał z niej pokonany. Pokonany dlatego, że stał na niższym stopniu ekonomicznym i socjalnym oraz nie miał oparcia ze strony państwa, a w tym wypadku — wielmożów wielkopolskich. To upośledzenie chłopu wielkopolskiego stało się przyczyną owej niedokrwistości pogranicza zachodniego, którego sedno sprawy leży nie gdzieindziej, lecz w podłożu ekonomicznym, w stosunkach prawno-społecznych i niższym stopniu cywilizacyjnym oraz kolonizacji niemieckiej na wsi polskiej. Łatwo było zdobyć ziemie na Wschodzie chłopu mazurskiemu w chwili, gdy nie miał konkurenta silniejszego i miał ziemi poddostatkiem, ziemi, która mogła wyżywić najliczniejszą nawet rodzinę. Wynikiem tych sprzyjających warunków jest owa prężność i żywotność chłopu mazurskiego na opanowywanych przez niego obszarach Prus, Podlasia, Lubelskiego i Wileńszczyzny. Trudniej było tego dokonać na pograniczu zachodnim. To są główne powody niemocy polskiej na Kresach Zachodnich.

W sumie — broszurka dr. Labudy ciekawa i nie banalna. Warto ją przeczytać z wielu względów. Przede wszystkim dlatego, by uświadomić sobie, że zagadnienia naszej niemocy na Kresach Zachodnich winny być w najbliższej przyszłości badane metodą naukową w odniesieniu do historii społecznej i gospodarczej. Temat ten nieopracowany dać nam może wspaniałe i niezwykle cenne dla chwili obecnej wyniki i wnioski na przyszłość.

J. Ant.

Krzyżacy i ich Państwo*)

Rola historyczna Zakonu i państwa krzyżackiego jest o wiele większa, aniżeli by to się, powierzchownie biorąc, wydawało. Pomijając niepoślednią rolę, jaką państwo krzyżackie odgrywało, w czasie swego, stosunkowo niedługiego, istnienia, w społeczeństwie mu świecie, trzeba sobie uprzytomnić, że w ideologii Zakonu, w jego polityce i metodach działania, w atmosferze wreszcie, jaką przeniknięte było państwo krzyżackie, szukać należy genezy militarystyki pruskiego, ciągnącego przez kilka wieków nad historią Europy środkowej, a w pełni ucieleśnionego w Trzeciej Rzeszy. Stąd czerpał natchnienie Hitler, Rosenberg et Co. dla swych imperialistycznych koncepcji; dla metod bezwzględnej walki i gwałtu. Z tradycji Zakonu krzyżowego wyrósł kult siły i przemocy, uświęcenie zbrodni i ucisku. Ten duch nienawiści, duch wojującego teutona, niszczonego ogniem i mieczem wszystko, co mu na drodze jego światoburczych planów stało, błyskawicą rozkwitły w państwie krzyżackim, krwawą smugą kreślącą historię królestwa pruskiego, odżył i znalazł swój najpełniejszy wyraz w narodowo-socjalistycznej Trzeciej Rzeszy.

W swej niezmiernie ciekawej i na bogatym materiale źródłowym opartej pra-

cy*), podejmuje Karol Górski zsyntetyzowanie historii państwa krzyżackiego, wyrosłego na północnych rubieżach Polski. Sięgając do dziejów sprawowania Zakonu, autor wyjaśnia podłoże historyczne tego faktu, na tym tle, rozwija historię państwa krzyżackiego: stały wrost jego potęgi po przez podbój i kolonizację Prus, aż do ukoronowania podbojów zdobyciem Pomorza; czas największego rozkwitu; następnie — załamanie się i zmierzch Zakonu, co kolejno prowadzi do przetworzenia się państwa krzyżackiego w lenno-swieckie, z którego dopiero z czasem wzrośnie nowa potęga. Jednocześnie autor podaje analizę ustroj Zakonu, jego ideologii oraz politykę wewnętrzną i zewnętrzną, wyjaśniając na tym podłożu stosunek państwa krzyżackiego „pełnego tragizmu i ciężaru źródła” do współczesności i sąsiadujących z nim państw, a śmiało i z intuicją powiązując fakty i zjawiska historyczne, wyprowadza tym samym rodowód pruskiego militarystyki.

Podsumując historyczną rolę krzyżactwa, niezależnie od oceny z punktu widzenia politycznego, czy kultury materialnej, autor stwierdza, że „ze stanowiska moralnego postępu ludzkości, państwo krzyżackie było wyrazem cofania się, które wywarło wpływ destrukcyjny, zarówno na współczesnych, jak i na potomnych. Fakt jaskrawego sprzeniewierzenia się ideałom, połączony z błyskotliwymi, choć nie zawsze trwałymi, sukcesami, nie mógł pozostać bez głębokiego wpływu na umysł, w których gruntował przekonanie, że hipokryzja jest skuteczną bronią w życiu, że przemoc stoi ponad prawem. Wystarczy przeczytać głosy zachwyty literatury niemieckiej nad krzyżakami, a potępienia w literaturze polskiej, by przekonać się, jak głęboko destrukcyjny wpływ na harmonijny układ stosunków w Europie wschodniej, wywarły przewagi krzyżackie. Ogrom moralnego zła, jaki sprowadzili na kraje bałtyckie ludzie, odpowiedzialni za Zakon, nie przestaje działać do dziś dnia. Sądzę, że przewaga da wszelkie zasługi materialne, jakie kiedykolwiek i komukolwiek Zakon oddał”.

Ciekawa i interesująca książka Karola Górskiego ukazała się nakładem Instytutu Bałtyckiego.

A. Ol.

Eugeniusz Garbaci: Wieś duńska dawniej i dziś. Biblioteka Studium Spółdzielczego U. J., nr. 1, Kraków, 1946. Nakładem Studium Spółdzielczego U. J., str. 200.

Jest to jedna z najbardziej pasjonujących książek, jakie się ostatnio ukazały i jedna z najbardziej ważkich dla rozwoju naszego kraju. Chcę wierzyć, iż jest to książka o Polsce naszych wnuków. Sto lat temu wieś duńska była w podobnym stadium rozwoju, w jakim teraz znajduje się wieś polska. I mimo klęsk politycznych, mimo utraty prowincji Schlezwig i Holstein — chłop duński potrafił wnieść swoją gospodarkę, a więc i swój dobrobyt narodowy na poziom, który nie tylko budzi zazdrość, ale też jest wzorem. Fazy tego procesu opisuje dr. Garbaci w pięciu partiach swej książki. Zajmuje się po kolei rozwojem wsi duńskiej, od wczesnego średniowiecza, później zniesieniem poddaństwa, pańszczyzny i likwidacja wspólnoty wiejskiej, połączonych z uwłaszczeniem chłopu (przełom XVIII i XIX wieku) bankructwem państwa duńskiego i wielkim kryzysem rolnym (1818—1828) oraz jego nieoczekiwanym rezultatem, wspaniałym rozkwitem wsi duńskiej, osiągniętym dzięki zastosowaniu w Danii zarówno w ustroju politycznym, jak gospodarczym idei demokratyczno-liberalnej. Podstawą rozwoju wsi duńskiej stały się dwa czynniki: uniwersytety ludowe i spółdzielczość. Strukturze i osiągnięciom duńskiej spółdzielczości wiejskiej, poświęcona jest znaczna część książki. Z książki Garbaci'a uczyc się winniśmy wszyscy podstawowych zasad sukcesu duńskiej spółdzielczości. Garbaci formułuje je następująco: „Żadna spółdzielnia nie powstała tam w oparciu o pomoc z zewnątrz, żadna gałąź ruchu nie opierała swej egzystencji na pomocy

*) Karol Górski: Państwo Krzyżackie w Prusach. Instytut Bałtycki. Bydgoszcz, Al. 1 Maja Nr 48. 1946. Str. 295.

materialnej państwa... zrezygnowano nawet z emocjonalnego czynnika rozwoju, jakim jest w innych krajach propaganda ideałów zagospodarczych, wiązanie ze spółdzielczością utopijnych fantasmagorii... Dostatecznym motywem współpracy spółdzielczej są korzyści gospodarcze. Dzięki temu Duńczycy zdołali rozwinąć wzorową organizację, która skupia wszystkich, bez względu na przekonania polityczne, a stworzywszy ruch masowy, mogli wykorzystać każdą, choćby najdrobniejszą szansę rozwoju swego gospodarstwa".

Koz.

Dywizjon 303*)

Trzy nielegalne wydania tej wspaniałej książki podczas okupacji, były rewelacją i wywołały ogromne wrażenie. Krążyła z rąk do rąk. Użyczano jej sobie po cichu i „polykano“ doświadczenie. Bez przesady można też powiedzieć, że dokonała ona o wiele więcej od setek innych wydawnictw podziemnych, krzepiąc zdołałe i zatrwożone serca, napawając je dumą szlachetną i nadzieją. Obecnie ukazało się jej pierwsze wydanie powojenne. I poraz pierwszy też zostały ujawnione prawdziwe nazwiska bohaterów lotników z dywizjonu 303.

Dwukrotnie czytałem tę książkę, w jej wydaniu miniaturowym, podczas okupacji. Przyznaję się jednak, że ze wzruszeniem sięgnęłam teraz po nią poraz trzeci i... przeczytałam ją tak samo jak wówczas — z zapartym oddechem.

Książka napisana jest ślicznie. Ale nie o to głównie chodzi. Chodzi o nich. O tych cudownych chłopaków, lotników i mechaników dywizjonu 303, którzy w tragicznych dniach września 1940 r. walczyli ofiarnie, nieustraszenie, już nie tylko o przyszłość Polski, ale i świata. O tych, co w strasznych i rozstrzygających chwilach wielkiej ofensywy lotniczej niemieckiej na Anglię, przy boku dzielnych brytyczyków, jako jedni z „niewielu“, przestawili koleje wojny. O tych „zwykłych, zdrowych, prostych chłopakach“ — co rozstawili imię Polski i zapisali złotymi zgłoskami w historii: dzielność, ofiarność i umiejętności rzemieślniczy rycerskiego polskiego lotnika. Ze świat schylił z uznaniem głowę przed nimi, że zdobyli szacunek pysznych i zarozumiałych synów Albionu.

W wielkiej bitwie o Wielką Brytanię 12 maszyn Dywizjonu 303 zestrzeliło 126 samolotów niemieckich, w tem we wrześniu 108, a razem z drugim polskim dywizjonem 302 — 121, podczas, gdy reszta Królewskich Sił Lotniczych (RAF-u) miała 846 zestrzeleń.

Walczyli wspaniale. A jak walczyli, opowiada właśnie napisana z wielkim uczuciem, pięknym językiem, bajeczna książka Fiedlera. Nie ma pogo szerszej ją Dziś i jutro omawiać. Trzeba ją przeczytać. A wtedy — nie zapomni się ani o niej, ani o jej bohaterach.

A. Ol.

Arkady Fiedler: Dywizjon 303. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“. 1946. Str. 151.

Niejaki X

„Niejaki X“ (Bolesław Surówka), przedwojenny felietonista „Polonii“, obecnie piastujący takiż sam mandat w dobrze redagowanym „Dzienniku Zachodnim“ — jest niewątpliwie zresztą dziennikarzem. Tym bardziej należy się dziwić, iż zdecydował się na ryzyko wydania swych felietonów w jednym zbiorcu*, gdyż przez to poprostu osłabił ich wartość. Artykuły drukowane w czasopiśmie w rzadkich wypadkach nadają się do powtórnej, zbiorowej edycji. Aktualność artykułu łatwo przemija, a jeszcze łatwiej czyni się to z felietonem, który ma sens w danej sytuacji i w danym mieście, czy kraju. Poza tymi granicami geograficznymi, czy czasowymi — jest już albo mało zabawny, albo nieciekawym, albo niezrozumiałym. Sek z „Kurieru Warszawskiego“ nie wydawał swych „Szyków“ w książce i niewątpliwie dobrze czynił. Jakże błado w porównaniu z cotygodniowymi kronikami w „Wiadomościach Literackich“ wypadały ich zbiory, wydawane przez Słonimskiego. Także wydany obecnie w Katowicach zbiorek „Dziura w brzuchu“ jest wręcz słaby. Obok felietonów dobrych, jak „Uzupełnienie“, „P. Kaczmarek“ i „Aipuhara“, znalazły się w nim przeważnie felietony słabe, z najslabszym „Flirtem z Melpomeną“ na czele.

Żle postąpił „Niejaki X“, decydując się na tą imprezę!

*) Niejaki X — „Dziura w brzuchu“. Wyd. AWiR — Katowice, 1946, str. 104.

L - jak Lucy

Ruchliwa firma katowicka „AWiR“ niezwłocznie po doskonałym „Żądle Genowefy“ rzuciła na rynek drugą część opowiadań Meissnera p. t.: „L - jak Lucy“. Jest to znakomita książka. Jeżeli pod adresem „Żądla Genowefy“ można było wysunąć zastrzeżenia pewnej nierówności konstrukcyjnej, która sprawiła, iż część w gruncie rzeczy błaha — przygody rumuńskie autora — potraktowana została szerzej i wybiła się na czoło książki, o tyle „L - jak Lucy“ jest już jednolita i zupełnie.

Druga zaletą tego zbioru jest to, iż „L - jak Lucy“ nie jest tylko zabawną kroniką przygód Pryszczyka, ale udaną analizą przeżyć psychicznych tego rodzaju osobników, jak Sarat, czy też Góral. Pod tym względem opowiadania „Flying Control“, „Missing“ i „Zestrzelił nas nad Francją“ należą do najlepszych, może nawet nie tylko w zbiorze nowel Meissnera, ale w ogóle w polskiej literaturze.

Tymi dwoma książkami Meissner stworzył w początkach naszej literatury wojennej pewien typ opowiadania, który nader trafnie łączy w sobie autentyzm wojennych przygód z humorem i pogodą, tak koniecznymi dla przezwyciężenia wojennych okropności. Tym bardziej, że Meissner potrafił stworzyć rzecz w swoim gatunku lepszą od Haszka, gdyż jego humor nie przechodzi nigdy w humoreskę. Ich fantastyczne powodzenie i krajowe i międzynarodowe, jest zupełnie usprawiedliwione. Życzymy dalszych wydań.

K. Kk.

**) Janusz Meissner „L-jak Lucy“, Wyd. AWiR — Katowice, 1946, str. 220.

„Slovensky prehled“

W Pradze ukazał się pierwszy numer wznawionego wydawnictwa „Slovensky prehled“, Rocznik XXXII — 1946 r. Nr. 1 — 2. Czasopismo to cieszy się już prawie półwiekową tradycją w służbie dla poznawania się i wzajemnego zbliżenia się narodów słowiańskich w dziedzinie politycznej, socjalnej i kulturalnej życia państw słowiańskich.

Nowy numer otwiera artykuł inicjatora i założyciela tego pożytecznego czasopisma, Adolfa Cernego, który przed niespełna 50 laty wydał pierwszy numer tegoż pisma, wyłaczając jego kierunek i pierwsze drogi rozwoju. W artykule swym p. t. „Z początku Slovenskeho prehledu“ założyciel przypomina wiele interesujących szczegółów z pierwszych lat pisania, któremu wypadło krzewić ideę słowiańskiego zbliżenia na gruncie wówczas bardzo nieprzychylnym tym prądom.

Redaktorem naczelnym pisma jest prof. Frinta, a w zespole redakcyjnym zasiada Dr. V. Burian, dr. Fr. Fiala, dr. I. Fiala, prof. B. Hawranek, A. Malek, poseł P. Macha, prof. J. Necas, dr. V. Outrata i V. Prochaska.

Prof. A. Frinta prowadził już czasopismo przed wojną, ale okupacja niemiecka przerwała jego istnienie. W pierwszym numerze zamieszcza swoje prace: A. Cerny, Zd. Nejedly, V. Meusagin, M. Djilas, J. Michl, J. Fiala, J. Tuma, V. Outrata, J. Necas, A. Malek, T. Lehr-Splawiński, J. Fiala i A. Frinta.

Okazały numer księgowego formatu, mający 128 stron druku w jednej trzeciej jest poświęcony Polsce, a mianowicie: Dr. Jarosław Michl zamieszcza większą pracę, popartą materiałami rzeczowymi i cyframi „O nowej reformie rolnej w Polsce“, inż. Ad. Mladek zamieszcza obszerny artykuł „O życiu politycznym no-

wej Polski“, prof. dr. T. Lehr-Splawiński zamieszcza artykuł „Uniwersytet Jagielloński podczas wojny i obecnie“, a prof. Dr. H. Batowski napisał o „Komitecie Słowiańskim w Polsce“. Pan H. Gruszczynska-Dubowa zamieszcza obszerny relacjon polskiego wydawnictwa publicystycznych o okrucieństwach i zbrodniach niemieckich w Polsce. Szczegółowo omówił książkę Z. Wojciechowskiego „Polska — Niemcy“ oraz „Chłop Polski w dziejach i literaturze“ — Mgr.

Prócz tych prac jest w numerze kilka obszerniejszych notatek a mianowicie: o rocznicy Kościuszkowskiej, z życia kulturalnego na Ziemiach Zachodnich, o działalności Polskiej Akademii Umiejętności, o etnografii w Polsce, o teatrach Polskich i wspomnienie o prof. Stanisławie Kutrzebie.

Cenny nader jest dział bibliograficzny, w którym zanotowano 176 polskich pozycji książkowych i 38 periodyków.

W numerze prócz działu polskiego i czeskiego poświęcono wiele prac innych narodów słowiańskich, jak ZSRR, Jugosławia, Bułgaria.

Pismo nader dobrze przysługuje się idei zbliżenia narodów słowiańskich i jest wydawane w Pradze.

Zdaje się, że nasz Komitet Słowiański w Polsce powinien też pójść w ślady czeskiego i prace tych komitetów powinny się więcej zająć i to właśnie na polu wymiany dóbr kulturalnych między obu narodami. O ile mówi się wiele o zbliżeniu narodów słowiańskich — to powinniśmy z narodami czechosłowackimi zająć bliższy kontakt, bo to są najbliżsi nasi sąsiedzi. Przez wymianę dóbr kulturalnych — przyjdzie rzeczywiste zbliżenie obu narodów, ale w pierwszym rzędzie musimy jedni o drugich wiele wiedzieć, wzbudzić zainteresowanie, a z zainteresowań rodzi się przyjaźń.

J. B.

Z o o l o g i a

wanego pana Nachta:

„W modnej kawiarni koza kozie Szepcze o bombie w wytwornej pozie. Pan hrabia chudy jak żerdź Mówi: raz kozie śmierć! Hrabina długa jak tyka, Też swe trzy grosze wtyka. I bardzo cieszą się świnię, że demokracja zginie!“

I tak wkołko, co trzecie słowo kozy i świnię, dla dowcipu pomieszaną tamte świnię i kozy z atolu Bikini, z tymi z kawiarni. Niesłychanie śmieszne, hi, hi, hi, doskonałe, co? A jak się po mistrzowsku wierszyk kończy:

„Truchleją wydry i żaby, Ze atom jeszcze za słaby. Ze znów z wojną trzeba zwlekać, Ze jeszcze trzeba poczekać.“

Brawo p. Józefie Nacht. To rozumiem, to jest satyra: śmiało, swobodnie i jak dowcipnie. Nie masz to jak pióro prawdziwego talnetu. Tylko ten ostatni rym „zwlekać“, i „poczekać“, trzeba koniecznie poprawić, bo tak jak przed wojną mówiło się rymy częstochowskie, to odtąd ludzie zaczną mówić rymy katowickie.

Strzyżenie baranów

Przeczytałem ostatnio w prasie, że proces norymberski wszedł w ostatnie stadium. Strasznie zmartwiłem się boleścią całego wysokiego trybunału. Zważcie państwo sami — tak się już z sobą wszyscy zżyli: prokuratorzy z obrońcami, os-

karzeni ze strażnikami, a tu nagle kłapa, trzeba będzie się rozstać. Musimy przecież zdać sobie z tego sprawę, że człowiek przywiązuje się do codziennego swego otoczenia straż więzienna też jest otoczeniem), a zajęcia zawodowe stają się drugą naturą ludzką.

Jakiż był zawód ostatnio np. Hermana Göringa, oczywiście przesiadywanie na ławie oskarżonych; jaki był zawód wysokiego trybunału — codziennie obserwować miny podsądnych. Myślę wprawdzie okiem potrafili wzajemnie bez słów poznać, kto jak spał, kogo boli głowa, a kogo zab, kto jest irracjonalistą, a kto wyznaje realizm — materialistyczny, kto wierzy w Darwina, a kogo miał na myśli Darwin, kto lubi czytać Biblię, a kto Przybosa. Przepraszam, zapomniałem, że to nie Polska. W każdym razie żyć się zżyli i przypuszczam, że się polubili.

Mam przyjaciela, który jest referentem w jednym z centralnych urzędów. Mówił mi, że szef jego jest bardzo grzeczny i witając się, zawsze z uśmiechem, ma tak łagodną i prawie miłą twarz, jak owczar przed strzyżeniem swoich baranów. Przypuszczam, że wysoki trybunał w Norymberdze ma też łagodną i miłą twarz, aby tylko już szybciej zaczął strzyć swoje barany.

Szpak.

S z e r o k i h o r y z o n t

On lubił to morze. Mógł patrzeć na jego srebrną powierzchnię, kiedy opowiadał Swe przypowieści. A na równinie, niedaleko stamtąd, On żywił pięć tysięcy ludzi.

Morze to tworzy rzeka Jordan, tocząc doń wodę ze wzgórz. Ludzie budują nad nim swe domy, ptaki wiją swe gniazda, zaś każdy przejaw życia jest dzięki niemu radośniejszy.

Rzeka Jordan wpada na południu do innego morza. Tu nie ma płuszczących się

ryb, ani szemrzących liści, ani pieśni ptaków, ani śmiechu dzieci. Podróźni wybierają inną drogę, chyba, że popędza ich pośpiech. Nad tym morzem jest ciężka atmosfera, zaś ani człowiek, ani zwierzę, ani ptak nie będą pić z niego wody.

Co tworzy tę wielką różnicę między tymi sąsiadującymi morzami?

Przecież nie rzeka Jordan — która wlewa te samą dobrą wodę do obu. Ani też ich dno, ani kraj wokół nich.

Różnica polega na tym, że morze Galilejskie korzysta z Jordanu, ale go nie zatrzymuje. Na każdą kroplę, która doń wpływa, inna wypływa. To drugie morze jest bardziej zapobiegliwe, gromadząc pieczołowicie swój dochód.

Nie można się po nim spodziewać żadnego szlachetnego odruchu. Każdą kroplę, którą otrzymuje, zatrzymuje dla siebie.

Morze Galilejskie daje i żyje. Drugie nie daje. Nazwano je Martwym.

Są dwa morza w Palestynie.

Są dwa rodzaje ludzi na świecie...“

WILK

Do Czytelników

W związku ze zwiększeniem się kosztów wydawniczych oraz dotkliwą zmianą warunków kolportażu ogólnopolskiego — zmuszeni jesteśmy podnieść cenę pojedynczego numeru do 10 zł.

Pragnąc jednak przystosować się do warunków przeciętnego odbiorcy i ułatwić naszym sympatykom otrzymywanie tygodnika, utrzymujemy tymczasowo prenumeratę na ulgowych warunkach, to znaczy — zł. 30 miesięcznie, zł. 85 kwartalnie.

A d m i n i s t r a c j a .

Redaguje: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia“ Widok 24 B-09380

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska 3-5.

Wydawca: Kolegium redakcyjne.